

L/UNI W E R S Y T E T W A R S Z A W S K I

Wydział Filozofii i Socjologii

Instytut Socjologii

REYTAN 1953 - 1989 - Szkoła niepokornych

Praca magisterska Ewy Modrzejewskiej

napisana pod kierunkiem

dr. Jakuba Karpińskiego

Warszawa 2002

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I - Pierwszy niepokorny - patron szkoły Tadeusz Reytan	3
ROZDZIAŁ II - Obszary zainteresowań	7
ROZDZIAŁ III - Metoda pracy i wykorzystane źródła	10
ROZDZIAŁ IV - Opis instytucji i podmiotów społecznych	17
ROZDZIAŁ V - Czarna Jedyńka i Gromada	43
ROZDZIAŁ VI - Szkoła wobec wydarzeń historycznych i polityki oświatowej PRL	53
ROZDZIAŁ VII - Niepokorna szkoła w oczach absolwentów	75
BIBLIOGRAFIA -	86

ROZDZIAŁ I

Pierwszy niepokorny - patron szkoły Tadeusz Reytan

Reytan - to magiczne słowo towarzyszy całemu mojemu życiu, począwszy od lat dziecinnych, kiedy nie rozumiałam jego znaczenia, a skończywszy na chwili obecnej, gdy czynię je tematem mojej pracy magisterskiej. Tadeusz Reytan vel Rejtan, patron VI Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie przy ulicy Wiktorskiej 30 to dla mnie postać kultowa. Pamiętam dokładnie, kiedy pierwszy raz zobaczyłam olbrzymi obraz wiszący w holu szkoły, a raczej kopię obrazu Jana Matejki. Niesamowicie podzielał na moją dziecinną wyobraźnię ten człowiek szalony, rozpostarty przed drzwiami, z szaleństwem w oczach, w rozerwanej koszuli. Zagradzał swym ciałem i swoją rozpaczą drogę do wyjścia tłumowi posłów z grubym władcym Ponińskim na czele. W kwietniu 1773 roku, kiedy rozpoczynał się sejm mający zatwierdzić pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej, Tadeusz Reytan, poseł ziemi nowogródzkiej, liczył sobie lat dwadzieścia siedem. Był człowiekiem bardzo szanowanym, mimo swego młodego wieku. Razem z drugim posłem nowogródzkim, Samuelem Korsakiem, skupili wokół siebie kilkunastu patriotycznych posłów z innych ziem Rzeczypospolitej i postanowili walczyć do upadłego o utrzymanie sejmu

wolnego przeciwko nieformalnej (bo zawiązanej przed otwarciem sejmu) konfederacji Ponińskiego. Jednak ofensywne działania klikki Ponińskiego odniosły skutek i wtedy właśnie w akcie ostatecznej rozpaczony Reytan rzucił się pod nogi stumanionym i przekupionym posłom z okrzykiem „Zabijcie mnie, zdepczcie, lecz nie zabijajcie ojczyzny...” Ale zhańbionych reprezentantów narodu nie już nie było w stanie zatrzymać - ruszyli wprost na ciało kolegi. Doszło do rozbioru kraju.

Reytan zaś zginął śmiercią samobójczą w 1780 roku, gdy to w napadzie szaleńczego strachu wybił szybę okienną i w pośpiechu zjadł jej odłamki. Umierał długo, w męczarniach, nie wiedząc, że w pamięci swego narodu pozostanie żywy na zawsze, a tym bardziej że zostanie patronem jednej z najlepszych warszawskich szkół.

„Reytan po raz ostatni przemówił starym językiem zaklinając na rany Boskie, aby takiej zbrodni nie popełniać. Ludzie rozsądni okrzyknęli Reytana głupcem i szalonym; naród nazwał go wielkim; potomność sąd narodu potwierdziła. (...) o rozsądnych ludziach rewolucji ostatniej zostawiamy sąd pokoleniom. (...) rozsądek, czyli wzgląd na okoliczności zmienne życia codziennego, nie jest trybunałem na sądenie spraw dotyczących wieków i pokoleń - rozsądek pojedynczy jest często w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego. Rozum rodu ludzkiego, wygnany z ksiązek i rozmów, chowa się w ostatnim szańcu, w sercach ludzi czujących. Skazówką tych ludzi jest poczucie powinności - patriotyzm, bohaterstwo”¹- tak pisał Adam Mickiewicz w artykule „O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych”

Reytan był człowiekiem niepokornym, o „rogatej duszy”, jak określał ludzi bohaterskich i bezkompromisowych Ludwik Krzywicki. Następne lata zaborów, niewoli doprowadziły niestety do wyjałowienia polskiego społeczeństwa z owych „rogatych dusz”. Typy oportunistyczne miały wówczas znacznie większe

¹ Adam Mickiewicz, O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych [W:] Pisma prozą cz.II, t.VI, Czytelnik Warszawa 1952, s.124

szanse przetrwania niż typy bohaterskie. Walka z rządami zaborczymi o wyzwolenie narodowe i społeczne eliminowała z każdego pokolenia jednostki o duszach najbardziej „rogatych”, nie było też komu pielęgnować i upowszechniać wzorów osobowych naznaczonych patriotyzmem. „Te procesy dały zmiany w biologicznym dziedzictwie narodu. Równocześnie zaś wydarzenia dające ubytek „dusz rogatych” doprowadziły do wytworzenia się wzorów opromienionych aureolą bohaterstwa, które wzbogacały kulturowe dziedzictwo narodu i przyczyniały się na drodze wychowawczej do kształtowania się jednostek tego typu.”² Typ ten stał przedmiotem badań cytowanego prof. Stanisława Ossowskiego.

Wielu nauczycieli liceum Reytana, podobnie jak patron szkoły, było ludźmi o rogatych duszach, co potwierdzają liczne wypowiedzi absolwentów tego liceum. Im właśnie zawdzięczają pokolenia uczniów staranne i prawe wychowanie.

W latach 1971- 1989 nazywano Reytana szkołą niepokorną od „Rodowodów niepokornych” Bohdana Cywińskiego. Niepokorność w rozumieniu Cywińskiego to etos „zaangażowanego ideowo społecznika o radykalnych poglądach społecznych i nonkonformistycznym stylu ich realizacji”². Sedno niepokorności leży w płaszczyźnie moralnej, bo ludzie, którym przypisano tę cechę, często nie należeli do żadnego ugrupowania politycznego, niejednokrotnie nie próbowali precyzować swoich poglądów, a jednak cechowały ich analogiczne podstawy w działaniu. Dla nich wartością nadrzędną była wolność w jak najszerszym zakresie: polityczna, socjalna, ideowa, religijna, a jej uzupełnienie stanowiła sprawiedliwość. Zwornik całości przekonań moralnych stanowiło „poczucie godności człowieka, przeżycie potrzeby autonomii osoby ludzkiej było w tej mentalności czymś zasadniczym”³.

² Stanisław Ossowski, *Z zagadnień psychologii społecznej*, PWN Warszawa 2000, s. 54

² Bohdan Cywiński, *Rodowody niepokornych*, Biblioteka „Więzi” t.29, s. 511

³ tamże, s. 513

Podłoże postawy niepokornej to poczucie odpowiedzialności za rzeczywistość i płynąca stąd potrzeba zaangażowania, a to oznaczało solidarność z krzywdzonymi i solidarność buntujących się. Często wymagało to zaryzykowania własnej kariery, bezpieczeństwa a nawet życia. Styl życia nonkonformistów kształtował specyficzne poczucie godności, rozwijał kanon etyki prześladowanych politycznie. Cechował ich też brak dążenia do władzy, bezinteresowność oraz wyczucie rzeczywistych potrzeb społecznych i unikanie postawy posiadaczy absolutnej prawdy. Od haseł i poglądów ważniejsze i trwalsze są postawy etyczne - „dążenie człowieka do realizacji wartości, tkwiących u podstaw jego godności ludzkiej i odwiecznego pragnienia sprawiedliwości i braterstwa. Jako takie są one najcenniejszym i chyba niezniszczalnym elementem naszej tradycji narodowej”¹.

O takich ludziach pisał Bohdan Cywiński i takimi też byli nauczyciele Reytana np. Wiesław Żurawski, Maria Kikolska, Stefania Światłowska, Ireneusz Gugulski, Anna Modrzejewska, Wojciech Fałkowski, Michał Piskorz.

Wielokrotnie manifestowali oni swą niepokorność wobec obowiązującego represyjnego systemu broniąc najcenniejszych dla nich wartości.

¹ Bohdan Cywiński, Rodowody niepokornych, Biblioteka „Więzi” t.29, s. 517

ROZDZIAŁ II

Obszary zainteresowań

Andrzej Ajnenkiel 1949, Zdzisław Najder 1949, Dariusz Fikus 1951, ks. Jerzy Chowańczak 1952, Kazimierz Orłoś 1953, Piotr Wierzbicki 1953, Janusz Onyszkiewicz 1955, Bohdan Cywiński 1956, Jakub Karpiński 1957, Janusz Korwin-Mikke 1959, Andrzej Zoll 1959, Sergiusz Kowalski 1960, Wojciech Karpiński 1961, Marcin Król 1961, Andrzej Rosiewicz 1962, Jerzy Zelnik 1963, Jerzy Axer 1964, Jacek Kleyff 1965, Michał Kulesza 1965, Marcin Świącicki 1965, Janusz Zaorski 1965, Jerzy Zelnik 1965, Janusz Kijowski 1966, Jan Walc 1966, Andrzej Celiński 1967, Jakub Świącicki 1967, Andrzej Rosner 1967, Grzegorz Boguta 1968, Piotr Naimski 1968, Ludwik Stomma 1968, Adam Ferency 1969, Przemysław Gintrowski 1969, Włodzimierz Bolecki 1971, Nawojka Cieślińska 1971, Wojciech Fałkowski 1971, Paweł Januszewicz 1971, Marek Zaleski 1971, Stanisław Falkowski 1972, Maria Krzywdzińska (Parczewska) 1972, Andrzej K. Kunert 1972, Piotr Smulczyński (Flatau) 1972, Ludwik Dorn 1973, Urszula Doroszevska 1973, Mirosław Konarowski 1974, Jarosław Pachowski 1974, Magdalena Łazarkiewicz 1976, Sławomir Mazurek

1979, Barbara Engelking 1980, Andrzej Horubała 1980, Dariusz Kupiecki 1980, Michał Cichy 1985.

Powyższe kilkadziesiąt nazwisk, które podałam i zestawiałam, to absolwenci Reytana. Z wieloma z nich udało mi się osobiście porozmawiać i ich wypowiedzi będą ilustrowały chronologiczny bieg wydarzeń, które miały miejsce w szkole. Byli uczniowie chętnie mówią o swych nauczycielach, często po latach wybacząc im wady. Są wśród nich artyści i naukowcy, działacze społeczni i polityczni różnych odcieni, posłowie i ministrowie. Ta różnorodność robi wrażenie, bo widać, że w szkole była atmosfera sprzyjająca owej różnorodności, że nie wychowywano tu „pod sznurek”, że olbrzymią rolę odegrało także samowychowanie jako rezultat działań Czarnej Jedyńki ZHP, samorządu uczniowskiego oraz indywidualności kolegów. O owym wychowaniu pośrednim czyli wyrobieniu pożądanych dyspozycji, cech i ideałów nie przez werbalne pouczanie, „ale przez stopnie i sprawności dostosowane do wieku i płci”¹ pisał wielokrotnie jeden z praktyków i teoretyków harcerstwa Aleksander Kamiński, a o wpływie grupy na przekonania jednostki psycholog Stefan Baley. Trafnym wydaje mi się spostrzeżenie Baleya: „Grupa jako całość posiada pewną fizjonomię”². Grupa (np. klasa) jako całość nabiera cech analogicznych do cech osobowości jednostki, ma rodzaj zbiorowej osobowości. „Są więc grupy (klasy) zaczepne i bojaźliwe, są grupy uległe i niesforne, pracowite i leniwe”³. Potwierdzają to doświadczenia mojej matki. Ona sama miała do czynienia z klasami, z którymi - jak się wyraziła - konie można było kraść i z klasami, z którymi dogadanie się przychodziło jej z najwyższą trudnością. Uczyła klasy, które najmniejszą pracę domową przyjmowały z niechęcią i klasy, które robiły, czytały, znacznie więcej niż wymagała. Klasy pozbawione ambicji i klasy z wybujałymi ambicjami intelektualnymi, ale także np. sportowymi. Klasy opiekuńcze wobec swoich

¹ Aleksander Kamiński, O harcerstwie, ZEN 1988, s. 28

² Stefan Baley, Wprowadzenie do psychologii społecznej, PWN 1959, s. 203

³ tamże, s. 204

wychowawców, co potwierdza cytowana później wypowiedź Katarzyny Górskiej, ale i klasy bezwzględne wobec nich. Klasy, które potrafiły wycieczkę klasową zamienić w pole perfidnych rozgrywek z opiekunami i klasy, które długo w nocy dyskutowały o różnych własnych problemach, szukając najlepszych rozwiązań i pytając opiekunów o zdanie. Klasy, w których ten sam temat omawiała 15 minut i inne, w których trwało to nawet dwie godziny. Pamiętam, że kiedy miała trzy klasy na jednym poziomie, zapytałam, czy ją to nie nudzi, że trzy razy w krótkich odstępach czasu albo nawet jednego dnia musi powtarzać to samo. Odpowiedziała, że to nigdy nie jest to samo i nie tak samo, że klasy mają różne oblicza i różnie przyjmują te same treści, że przygotowując się do lekcji, bierze te różnice pod uwagę, że nawet cytaty, które wybiera, nie zawsze są te same w różnych klasach. Oczywiście nauczyciel - wychowawca odgrywa dużą rolę w kształtowaniu się charakteru, osobowości klasy, ale także gospodarz klasy oraz nieformalni przywódcy, członkowie grupy, z których zdaniem ogół się liczy.

W niniejszej pracy chcę zbadać dlaczego właśnie ta szkoła, VI Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusz Reytana w Warszawie stało się oazą opozycji w PRL, dlaczego miało opinię szkoły niepokornej, dla której Tadeusz Reytan okazał się być symbolicznym patronem. Opiszę 36 lat życia szkoły przedstawiając kontekst historyczny wydarzeń, które miały w niej miejsce. Spróbuję przyjrzeć się różnym czynnikom, zmiennym w czasie, które miały wpływ na postawy przybierane przez interesujące mnie podmioty społeczne: dyrektorów szkoły, nauczycieli, uczniów, rodziców. Prześledzę, również zmieniającą się na przestrzeni lat, strategię działań władz oświatowych, takich jak Inspektorat Oświaty, kuratorium, wobec podległych im szkół, a w szczególności wobec „niepokornej szkoły”. Najtrudniejszym zadaniem będzie próba uchwycenia atmosfery, która panowała w szkole, a powodowała, że mimo upływu lat kolejne roczniki wychodziły ze szkoły podobnie wyposażone moralnie i intelektualnie.

ROZDZIAŁ III

Metoda pracy i wykorzystane źródła

Materiały do mojej pracy magisterskiej zaczerpnęłam z czterech źródeł. Pierwszym była literatura, której spis podałam w bibliografii. Drugim źródłem była wiedza mojej matki, wieloletniej nauczycielki liceum Reytana, uczestniczki wielu wydarzeń, które nakreśliłam. Wielogodzinne rozmowy z nią zaowocowały chronologicznym opisem historii szkoły, naznaczonym jej osobistym doświadczeniem, odczuciami, komentarzem. Trzecim - archiwum szkoły. Czwartym zaś źródłem były wywiady swobodne z elementami standaryzowanymi dla danych demograficznych, takich jak: wiek, wykształcenie, przeprowadzone z absolwentami liceum. Dotyczyły one fragmentów biografii respondentów: okresu, gdy byli uczniami liceum, a także tego jak ten fakt wpłynął na ich późniejsze życie, osobiste wybory życiowe. Ów wywiad swobodny, który w związku z obranymi przeze mnie celami badawczymi stał się moim narzędziem pracy, jest jedną z metod badań biograficznych. Denzin w swojej pracy pt: *The Research Act* mówi tak: „Biografia przedstawia doświadczenia i definicje danej osoby, grupy lub organizacji, tak jak ta osoba grupa lub organizacja interpretuje te

doświadczenia”¹. Stwierdzenie to oparte jest na założeniu, że „Zachowanie ludzkie musi być badane z perspektywy osób, których ono dotyczy”.¹ Trafność wybranej metody badawczej potwierdzają słowa Ingeborg Helling: „Niestandaryzowane wywiady wydają się rzeczywiście znacznie bardziej odpowiednie do uchwycenia „subiektywnego” znaczenia zdarzeń i procesów niż standardowe kwestionariusze”.² Również Schutze stwierdza, iż: „Kwestionariusze standaryzowane nie są odpowiednim narzędziem do uzyskiwania informacji o subiektywnych znaczeniach, (...) nie możemy w nich rozróżnić opinii publicznej, opinii prywatnej, odpowiedzi pożądaných społecznie, wiedzy ogólnej i wiedzy związanej z działaniem respondentów. Zaś w wywiadzie opartym na pytaniach otwartych respondent ma pewną szansę dostarczenia informacji osadzonej w kontekście”.³ Takie właśnie informacje, osadzone w kontekście wydarzeń historycznych i politycznych, były dla mnie najbardziej interesujące. Wywiad niestandaryzowany umożliwił moim rozmówcom użycie własnych pojęć, ujęcie tych pojęć w kontekście, zaś mnie, rozszerzanie lub skracanie odpowiedzi respondentów na pewne pytania. W sytuacji prowadzenia wywiadu niestandaryzowanego, swobodnego: „Mówiący musi kierować swoją aktywność ku słuchającemu, aby mieć pewność, że słuchający rozumie opowiadaną historię; słuchający zaś musi sygnalizować, że rozumie, poprzez czynności poza werbalne (takie jak kontakt wzrokowy, gesty, potakiwania)”.⁴ Tak też się działo w trakcie przeprowadzania moich badań. Nie uniknęłam jednak tego co Hopf nazwał „biurokracją dyspozycyjną”. Zobligowana do uzyskania odpowiedzi na przygotowane przeze mnie pytania, aby zapewnić sobie porównywalność danych, dzieliłam swoją uwagę: słuchałam

¹ Denzin, *The Research Act 1970*, s. 220- 221 [w:] Ingeborg Helling, *Metoda badań biograficznych*, [w:] J. Włodarek M., Ziółkowski *Metoda biograficzna w socjologii* PWN Warszawa 1990

¹ Denzin, *The Research Act 1970*, s. 234 [w:] Ingeborg Helling, *Metoda badań biograficznych*, [w:] J. Włodarek M., Ziółkowski *Metoda biograficzna w socjologii* PWN Warszawa 1990

² Ingeborg Helling, *Metoda badań biograficznych* [w:] J. Włodarek, M Ziółkowski *Metoda biograficzna w socjologii* PWN Warszawa 1990, s. 23

³ tamże, s. 26

⁴ tamże, s. 26

tęgo, co mówi osoba badana, myśląc równocześnie o brakujących informacjach. Staralam się stawiać pytania wyjaśniające wtedy, gdy było to konieczne, prosić o rozszerzenie kwestii, w których dana osoba wydawała się być szczególnie kompetentna lub gdy problem był bardzo interesujący. Nie przerywałam swobodnej ekspresji respondentów. Staralam się dowiedzieć, jak działały się zdarzenia, jak funkcjonuje selektywna percepcja danych zdarzeń lub pamięć o zdarzeniach bądź osobach, a także na ile istotne były owe fakty dla badanego. Prześledziłam szereg zdarzeń i rzeczy w obszarze społecznym otaczającym badanych, którzy byli jego elementami, aby odkryć znaczenia ich wspomnień. Dotarłam do informacji o elementach struktury społecznej, które pojawiły się w wywiadach. Postępowałam według wskazówek Gabriele Rosenthal zawartych w jej artykule pt: „Rekonstrukcja historii życia”. Stwierdza ona: „Opowiadana podczas wywiadu historia snuje się, na ogół według centralnego tematu przygotowanego przez osobę prowadzącą wywiad”.¹ Dla mnie tym centralnym zagadnieniem była niepokońność szkoły, jej wyjątkowość na tle innych szkół i to czy dla badanych osób ma obecnie znaczenie fakt, że skończyli właśnie tę szkołę. Tym właśnie kwestiom poświęciłam cały ostatni rozdział mojej pracy, szeroko cytując wypowiedzi absolwentów i dokonując analizy zebranych materiałów.

Osoby do wywiadów starałam się dobrać w taki sposób, by porozmawiać z kilkoma przedstawicielami lat 50., 60., 70. i 80. Drugim kryterium wyboru uczestników mojego badania był fakt, w jakim stopniu uczestniczyli oni w życiu szkoły, czym obecnie się zajmują i czy osiągnęli sukces w życiu zawodowym. Sądzę, że moi rozmówcy należą do elity intelektualnej naszego kraju.

Moje badanie przeprowadziłam w dniach od 16 maja 2002 do 3 września według kwestionariusza, który opracowałam, a następnie skonsultowałam z promotorem mojej pracy magisterskiej panem profesorem Jakubem Karpińskim.

¹ Gabriele Rosenthal, Rekonstrukcja historii życia, [w:] J. Włodarek, M Ziółkowski Metoda biograficzna w socjologii PWN Warszawa 1990, s. 100

Nagrałam na taśmę magnetofonową osiemnaście wywiadów. Dwa wywiady przeprowadziłam drogą e - mailową, co zaznaczyłam na powyższej liście, ale okazało się, że ten sposób nie sprawdza się jako metoda badawcza. Odpowiedzi na pytania były bardzo lakoniczne i nie wniosły niczego nowego do stanu mojej wiedzy o przedmiocie pracy. Wobec czego zarzuciłam próby kontaktu mailowego z absolwentami, zdając się całkowicie na kontakt osobisty. Wiele wypowiedzi, zwłaszcza dotyczących nauczycieli i wychowawców, było bardzo podobnych, ale były też i takie, które całkowicie się różniły. Starłam się zestawiać takie właśnie wypowiedzi, by pokazać, że często ludzie zupełnie odmiennie pamiętają osoby, wydarzenia i że bardzo różnią się w ocenie rzeczywistości, która ich otaczała. Nie było moim celem szukanie obiektywnej prawdy o tamtych czasach, starałam się prześledzić i zaznaczyć różnice w postrzeganiu rzeczywistości.

W jednym natomiast wszyscy moi rozmówcy byli zgodni, że szkoła, która ich wychowała i jak często mówią, odcisnęła na nich piętno, była szkołą niezwykłą, zaangażowaną politycznie, oazą wolnej myśli w PRL-u, szkołą „niepokorną”.

KWESTIONARIUSZ DO WYWIADU

1. Imię i nazwisko absolwenta.
2. Rok urodzenia.
3. Lata spędzone w Reytanie i data egzaminu maturalnego.
4. Wykształcenie.
5. Wykonywany zawód.
6. Dlaczego Absolwent wybrał tę szkołę?

7. Czy osoba patrona szkoły miała dla Absolwenta i jego kolegów znaczenie, czy wiedzieli kim był?
8. Kogo z nauczycieli pamięta? Czy któryś z nich miał na niego wpływ? (pozytywny czy negatywny).
9. Kto był wychowawcą klasy? Czy i jaki miał wpływ na Absolwenta i jego kolegów?
10. Kogo z kolegów z klasy i szkoły zapamiętał?
11. O kim absolwent wie lub słyszał, że jest reytaniakiem?
12. Czy Absolwent utrzymuje kontakty z któryś z nauczycieli lub kolegów?
13. Czy uczestniczył w zjazdach koleżeńskich?
14. Jakie wydarzenia z życia szkoły pamięta, o jakich słyszał, w jakich uczestniczył? (konflikty, solidarne akcje - przykłady).
15. Czy i jak działał samorząd uczniowski, kto był jego opiekunem?
16. Jakie wydarzenia z życia pozaszkolnego, w którym brali udział ówcześni uczniowie, pamięta?
17. Czy ma dla Absolwenta znaczenie to, że skończył właśnie tę szkołę?
18. Czy ta szkoła różniła się czymś od innych?
19. Jeżeli tak, to czym?
20. Z kim z absolwentów warto o szkole rozmawiać?

Lista absolwentów, z którymi przeprowadziłam wywiady:

1. Andrzej Janowski, matura 1953, polonista, profesor pedagogiki, dyrektor Kolegium Nauczycielskiego. Wywiad przeprowadzony 2 września 2002,

godz. 14.30 - 16.00.

2. Piotr Wierzbicki, matura 1953, polonista, dziennikarz. Wywiad przeprowadzony 28 sierpnia 2002 godz. 13.00 - 14.15
3. Janusz Onyszkiewicz, matura 1955, matematyk, polityk. Wywiad przeprowadzony 8 sierpnia 2002, godz. 10.00 - 12.00.
4. Ładysław Nekanda-Trepka, matura 1959, lekarz - chirurg. Wywiad przeprowadzony 7 sierpnia 2002, godz.15.00 - 16.20.
5. Marek Barański, matura 1960, historyk, nauczyciel akademicki. Wywiad przeprowadzony 8 czerwca 2002, godz. 12.15 - 14.00.
6. Stanisław Małkowski, matura 1961, socjolog, ksiądz. Wywiad przeprowadzony 3 września 2002, godz.17.20 - 18.00.
7. Tomasz Arciszewski, matura 1965, profesor, nauczyciel akademicki w USA. Wywiad przeprowadzony drogą e-mailową 18 maja 2002.
8. Janusz Kijowski, matura 1966, reżyser filmowy i teatralny. Wywiad przeprowadzony 4 czerwca 2002, godz. 12.00 - 13.30.
9. Antoni Macierewicz, matura 1966, historyk, poseł, absolwent liceum imienia Marii Konopnickiej w Warszawie, harcerz Czarnej Jedyńki, jeden z założycieli Gromady Włóczęgów. Wywiad przeprowadzony 17 czerwca 2002, godz. 14.00 - 15.30
- 10.Andrzej Rosner, matura 1967, historyk, wydawca. Wywiad przeprowadzony 18 maja 2002, godz. 14.00 - 16.00.
- 11.Małgorzata Naimska, matura 1971, hebraistka, szefowa fundacji IDEE. Wywiad przeprowadzony 28 maja 2002, godz. 16.45 - 18.45.
- 12.Włodzimierz Bolecki, matura 1971, polonista, historyk literatury. Wywiad przeprowadzony 14 maja 2002, godz. 14.30 - 16.00.
- 13.Stanisław Falkowski, matura 1972, polonista, nauczyciel licealny. Wywiad przeprowadzony 25 maja 2002, godz. 9.45 - 11.30.

14. Maria Parczewska z domu Krzywdzińska, matura 1972, psycholog, kuratorka sztuki, nauczycielka akademicka. Wywiad przeprowadzony 3 czerwca 2002, godz. 17.20 - 18.50.
15. Sławomir Mazurek, matura 1979, polonista, filozof, pracownik naukowy. Wywiad przeprowadzony 10 maja 2002, godz. 15.00 - 17.30.
16. Ewa Teleżyńska z domu Engelking, matura 1980, polonistka, właścicielka firmy komputerowej. Wywiad przeprowadzony drogą e-mailową 22 maja 2002.
17. Krzysztof Nowakowski, matura 1982, filozof i socjolog, doradca do spraw zarządzania kapitałem ludzkim. Wywiad przeprowadzony 21 maja 2002, godz. 12.00 - 13.00.
18. Katarzyna Górską, matura 1984, specjalistka do spraw zarządzania sztuką, producentka filmowa. Wywiad przeprowadzony 16 maja 2002, godz. 11.00 - 12.30.
19. Michał Cichy, matura 1985, historyk, dziennikarz. Wywiad przeprowadzony 27 maja 2002, godz. 17.10 - 18.45.
20. Filip Modrzejewski, matura 1986, polonista, redaktor naukowy i Katarzyna Modrzejewska, matura 1988, artystka ceramiczka. Wywiad przeprowadzony 9 czerwca 2002, godz. 20.30 - 21.30.

ROZDZIAŁ IV

Opis instytucji i podmiotów społecznych

Liceum mieściło się najpierw przy ul. Rakowieckiej 24 i liczyło osiem oddziałów męskich. Wspomina Janusz Onyszkiewicz, matura 1955: „Klasy były wtedy bardzo liczne, nasza liczyła 63 uczniów i jak twierdził nasz wychowawca, prof. Łaganowski, była wykańczalnią dla nauczycieli. Gnieździliśmy się wtedy w takim budynku pofabrycznym na Rakowieckiej w dosyć szczególnym towarzystwie, gdyż obok był Dom Dziecka, nieco dalej więzienie, po drugiej stronie, opodal był korpus kadetów, naszych arcywrogów. Oni chodzili w szarych mundurach i wobec dziewczyn sprawa była dosyć poważna. Obok też był dom poprawczy. Większość nauczycieli była przedwojenna. Oni to przynosili pewien taki etos polskiego inteligenta, taką też klasę przedwojennego nauczyciela i również przynosili pewne treści, co jednak było bardzo trudne”.

Wśród kadry nauczycielskiej dominowali nauczyciele przedwojenni, często znakomicie przygotowani, z poczuciem misji, uważający swój zawód za zawód wyższej użyteczności publicznej. Należy tu wymienić mgr Stefanię Sztaudyngerową i mgr. Jana Świąteckiego, polonistów, mgr Stefanię Światłowską, filologa klasycznego i anglistkę, mgr Marię Kikolską biologa,

mgr. Wiesława Żurawskiego, historyka i polonistę, mgr. Jana Kozickiego matematyka, inicjatora Olimpiady Matematycznej. Tak wspomina profesora Kozickiego Janusz Onyszkiewicz, matura 1955: „Jan Kozicki uchodził, zresztą zupełnie słusznie, za znakomitego profesora. Przecież Reytan był potęgą w Olimpiadach Matematycznych. Dzięki niemu ugruntowało się moje zainteresowanie matematyką”. Tak zaś mówi o prof. Marii Kikolskiej: „Była znakomitą nauczycielką i dzięki niej do dzisiaj pamiętam rozmaite rzeczy z biologii. Świetnie wykladała”. Z takimi nauczycielami można było próbować unowocześniać szkołę, ale najpierw trzeba było zapewnić jej przestrzeń życiową.

W 1958 roku liceum otrzymuje nowy gmach przy ul. Wiktorskiej 30. Przede wszystkim na Wiktorskiej nie było już klas, ale pracownie. Autorem koncepcji klasopracowni był prof. Wincenty Okoń. Koncepcji nadano rozgłos w środowisku nadzoru pedagogicznego i być może stąd pomysł realizacji jej w VI Liceum Ogólnokształcącym im. T. Reytana. Gmach szkolny był nowy, więc nie występowały tu problemy z przebudową czy przystosowywaniem. Mniejszą część gmachu z salą gimnastyczną i boiskiem ziemnym zajęła Szkoła Podstawowa nr 36, większą, również z salą gimnastyczną, ale z boiskiem betonowym, stołówką, biblioteką zajął Reytan. Każdy przedmiot miał swoją pracownię, a niektóre nawet kilka, np. język polski w 1962 roku miał cztery pracownie. W ten sposób młodzież, wtedy jeszcze męska, całe przerwy spędzała na korytarzach i w holach. Niektórzy nauczyciele pozwalali młodzieży zostawać w pracowni, ale zwykle okazywało się, że pracownia nie została wywietrzona, stoliki i krzesła porozstawiane, więc po pewnym czasie praktycznie cała młodzież w czasie przerw koczowała na korytarzach. Były też dwa gabinety medyczne: dentystyczny i lekarski, obydwa czynne codziennie, ale ten drugi tylko z obsadą pielęgniarską, lekarz przychodził dwa razy w tygodniu. Na parterze był sekretariat, w którym pracowała sekretarka Wanda Sygulska. Z niego wchodziło się do gabinetu dyrektora, który miał także drugie

drzwi na korytarz. Na parterze w holu po stronie A umieszczono tablicę z nazwiskami zmarłych nauczycieli Reytana, gdzie podczas świąt państwowych stawała warta honorowa złożona z harcerzy w strojach organizacyjnych.

U podstaw koncepcji klasopracowni legło przekonanie, że wszystko, czego uczeń potrzebuje na danej lekcji, powinno być na miejscu. Tak więc np. biblioteka wydzieliła część księgozbioru i dała różnym pracownikom na przechowanie. W przypadku pracowni języka polskiego, bo tak zaczęto nazywać klasopracownię, był to zestaw lektur obowiązkowych i w miarę możliwości uzupełniających, słownik ortograficzny i ewentualnie inne słowniki, choć np. wielki Słownik języka polskiego W. Doroszewskiego zakupiono tylko jeden do biblioteki. W pracowniach miały też być podręczniki szkolne, najlepiej cały komplet, żeby wszyscy uczniowie mogli korzystać w czasie lekcji np. z antologii. Z czasem miało być tyle, żeby starczyło na wszystkie ławki, bo uczeń miał przynosić do szkoły tylko zeszyty, ale z braku pieniędzy nigdy nie udało się tego w pełni zrealizować. Nauczyciel opiekujący się pracownią był zarazem wychowawcą, więc jego klasa także roztaczała nad nią kuratelę, doskonaliła lub wykonywała różne pomoce szkolne, a rodzice często ofiarowywali np. słowniki do pracowni językowych.

Mniej więcej w tym czasie wprowadzono przedmiot zajęcia techniczne, ale w Reytanie były one inne niż gdzie indziej. W ósmej klasie były to lekcje maszynopisania. Rodzice wystarali się o maszyny do pisania, których pozbywały się instytucje, żeby uczniowie mieli swój park maszynowy. W dziewiątej klasie lekcje zajęć technicznych odbywały się według ogólnego programu, natomiast w dziesiątej klasie były kursy motorowe, najpierw teoria, a potem jazdy, a wszystko to zakończone egzaminem i otrzymaniem prawa jazdy. Czterdzieści lat temu młodzież na rok przed maturą w szkole na zajęciach technicznych zdobywała prawo jazdy! Był to program przeznaczony dla chłopców, ale za cztery lata miały zjawić się w szkole dziewczęta. Można od razu powiedzieć, że niczego to w nauce zajęć technicznych nie zmieniło, nie

uważano, że dziewczętom to niepotrzebne. W żadnej innej szkole warszawskiej tego rodzaju zajęć technicznych nie prowadzono. Było to rozwiązanie bardzo nowoczesne, jeśli się weźmie pod uwagę, że samochodów osobowych było wtedy jeszcze niewiele, a i umiejętność maszynopisania poza urzędami nie taka częsta.

W nowym gmachu szkoła się znacznie rozrosła - miała po sześć oddziałów na poziomie czyli razem 24. Zaczęto zatrudniać nowych i często młodych nauczycieli, np. w 1958 roku zatrudniono matematyczkę - mgr Aleksandrę Karczmarzyk, która dwa lata później poślubiła nauczyciela fizyki Wojciecha Gutkiewicza, w 1959 polonistę mgr. Ireneusza Gugulskiego, a w 1961 także polonistkę mgr Annę Modrzejewską.

Do 1953 roku dyrektorami liceum przeważnie zostawali nauczyciele Reytana, często jeszcze przedwojenni, a w tym właśnie roku dyrektorem został Stanisław Wojciechowski. Wywodził się z Regnowa pod Rawą Mazowiecką z rodziny chłopskiej. W przystępie dobrego humoru żartował sobie, że słowo szubrawiec pochodzi od łacińskiego sub Rave. Najpierw ukończył Wyższy Kurs Nauczycielski, a następnie Instytut Nauczycielski ze specjalnością historia w Warszawie. Od 1923 roku do II wojny światowej pracował jako nauczyciel i kierownik szkół powszechnych w powiecie węgrowskim i w Węgrowie. Aktywnie uczestniczył w życiu społecznym, kulturalnym i gospodarczym wsi. Zakłada Kasę Stefczyka, spółdzielnię mleczarską, ochotniczą straż pożarną, współpracuje z harcerstwem. W czasie okupacji organizuje w Węgrowie, a później w Warszawie tajne nauczanie. Z tego czasu wywodzi się zasłyszana przeze mnie anegdota, ilustrująca szybki refleks i przytomność umysłu dyrektora; gestapo zastaje go na podwórku rąbiącego drewno na opał. Zapytany o kierownika szkoły, którym sam był, pokazuje ręką budynek, a kiedy Niemcy tam wchodzi, ucieka. Od tej chwili musi się ukrywać. Uczestniczy w powstaniu warszawskim jako korespondent wojenny Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK w stopniu kapitana. Po upadku powstania ukrywa swój

stopień oficerski, by razem z młodzieżą Zgrupowania Chrobry II pójść do stalagu i tam uczy ją przetrwania w niewoli. Jeszcze po zakończeniu działań wojennych organizuje szkołę polską w Monachium i wkrótce wraca do kraju, gdzie podejmuje pracę w szkolnictwie z ramienia Kuratorium Warszawskiego. Taki oto człowiek zostaje w 1953 roku dyrektorem VI Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Reytana. Na pewno przynależność do ZSL przyczyniła się do otrzymania takiego wysokiego stanowiska, bo z tego co wiem, dyrektorami liceów w Warszawie nie zostawali bezpartyjni.

Oto wspomnienia Janusza Onyszkiewicza, matura 1955, matematyka, dziś polityka: „Kiedy ja zaczynałem naukę, dyrektorem był człowiek, którego nazwiska nie pamiętam, a który nazywany był Wygibusem, a Wojciechowski przyszedł później. Panowała wtedy taka opinia, że on przyszedł Reytana utemperować, przestawić na bardziej dla partii strawny sposób działania i tory. Wydaje się jednak, że jego starania niewielki odniosły skutek. Były wręcz opinie, że to nie on zmienił Reytana a Reytan zmienił jego. Pamiętam jak na każdej zabawie szkolnej kazał grać ludowe melodie i z wielką werwą wywijał jakieś oberki, by pokazać, że pochodzi z ludu i że Reytan powinien do tych tradycji ludowych nawiązywać”.

Wspomina Małgorzata Naimska, matura 1971, hebraistka: „Dyrektor Wojciechowski był w czasie II wojny światowej porucznikiem Komendy Głównej Biura Informacji i Propagandy AK i to mi wyjaśnia, skąd był jego wielki sentyment do naszej drużyny harcerskiej i do jej właśnie niepokorności, do przestrzegania przedwojennych rytuałów harcerskich, właściwie takich czysto skautowskich, do pielęgnowania tradycji. Myśmy zawsze wiedzieli, że dyrektor Wojciechowski jest jedynym dyrektorem spośród dyrektorów warszawskich liceów, który nie był w PZPR Wiedzieliśmy, że był w ZSL, ale też wiedzieliśmy o nim, że on takie przekonania jeszcze miał przed wojną i nikt mu nie miał tego za złe, mimo że to była taka satelicka partia PZPR. Wszyscy wiedzieliśmy, że on właśnie takie przekonania pielęgnował i że było to w

następstwie, a nie dla kariery. Natomiast bardzo starannie przed nami ukrywał swoją akowską... swoje akowskie pochodzenie, ale rozumiem, że to się brało stąd, że gdyby ktokolwiek dowiedział się o tym właśnie jego pochodzeniu, to on by nigdy nie został dyrektorem warszawskiego liceum. Przede wszystkim z powołania on był pedagogiem i rzeczywiście takim przedwojennym, dobrym pedagogiem”.

Wspomina Włodzimierz Bolecki, matura 1971, polonista, historyk literatury: „Przynależność Wojciechowskiego do AK, o której do dziś nie wiedziałem, potwierdza profil jego przyzwoitości. Ja myślę, że to tłumaczy, dlaczego on zgromadził wokół siebie nauczycieli, którzy nie mogliby funkcjonować wówczas w innych szkołach. Na pewno w innej szkole, która była podporządkowana jakiemuś partyjnemu dryłowi, tacy nauczyciele nie mogliby funkcjonować (...). W naszych oczach uchodził za poczciwca, człowieka prostodusznego, który uczniów nie krzywdził i zawsze brał ich stronę, co potwierdziło się ze wszystkich moich obserwacji i takich dosyć luźnych kontaktów. Natomiast człowiekiem zdecydowanie szkodzącym i wymagającym od uczniów, nazwijmy to- takiej partyjnej dyscypliny, był wicedyrektor Gardziński, germanista.” Wspomina Marek Barański, matura 1960, historyk - nauczyciel akademicki: „Dyrektor, jak chodziliśmy do szkoły, to tak sobie się nam podobał dlatego, że kilka razy miał z nami lekcję, a nie był dobrym nauczycielem. Natomiast później zobaczyłem, ile on zrobił dla szkoły”.

Profesor Ireneusz Gugulski (1935 - 1990) zaczął uczyć w Reytanie w 1959 roku po studiach polonistycznych (1952 - 1956) na Uniwersytecie Jagiellońskim i po trzyletniej pracy w szkole podstawowej i liceum ogólnokształcącym TPD nr XVI w Warszawie. Był już wtedy żonaty i miał jedno dziecko (Marcin), później urodził się Antoni, a następnie Zofia. Po dwóch latach rezygnuje z pracy w szkole i zostaje redaktorem w Wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej, ale po roku wraca do Reytana. W 1968 został przeniesiony do szkoły podstawowej numer 261, ponieważ wstrzymał się od głosu nad rezolucją

nauczycieli mokotowskich potępiającą Związek Literatów Polskich za obronę „Dziadów” Adama Mickiewicza w inscenizacji K. Dejmka. Ten rok spędził na urlopie zdrowotnym, a we wrześniu 1969 roku wrócił do Reytana.

Wskutek podpisania wniosku o powołanie sejmowej komisji nadzwyczajnej do zbadania przebiegu wydarzeń w Ursusie i w Radomiu został w 1977 roku przeniesiony do XXXIII Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika. Tam uczył do 1981 roku. Do Reytana wrócił 1 września 1981 roku, ale w nocy 12-13 grudnia został internowany i wypuszczony w lipcu 1982. Wyglądało, że wróci do Reytana, ale władze oświatowe postawiły go przed komisją dyscyplinarną i zawiesiły w pełnieniu obowiązków służbowych. Ostatecznie przed komisją stanął dopiero w czerwcu 1983 roku, która zakończyła się naganą z wpisaniem do akt. Od nowego roku szkolnego 1983/84 został służbowo przeniesiony do XXI Liceum Ogólnokształcącego im. H. Kołłątaja celem „podniesienia w niej poziomu nauczania”, jego prośbę o powrót do Reytana załatwiono odmownie.

Po podpisaniu porozumień „okrągłego stołu” i wskutek wniosków kolegów 1 września 1989 roku powrócił do Reytana, ale na bardzo krótko; zdążyłam być jego uczennicą tylko przez miesiąc. Okazało się, że ma nowotwór mózgu, operowano go, ale nie udało się usunąć go w całości, potem naświetlano, także bez sukcesu. Zmarł 29 czerwca 1990 roku i został pochowany w Laskach na cmentarzu parafialnym. Na pogrzeb ściągnęło mnóstwo ludzi. Ktoś miejscowy zapytał, kogo to ważnego chowają i głęboko się zdziwił, gdy usłyszał, że nauczyciela.

Prof. Gugulski był chyba mniej niż średniego wzrostu, mocno zgarbiony, łysy, chudy, z niewielkimi wąsami i bródką. Dłonie miał zawsze splamione nikotyną, a marynarkę obsypaną popiołem, bo palił dużo, także na lekcji. Rzadko siedział przy stole, najczęściej wędrował po klasie lub stał. Właściwie niewiele więcej jako uczennica zaobserwowałam, reszta to wspomnienia kolegów nauczycieli, mniej lub bardziej z nim zaprzyjaźnionych. Wynika z nich, że Gugulski interesował się nie tylko uczniami, ale także swoimi kolegami - nauczycielami.

Chętnie słuchał tego, co mają do powiedzenia, a i sam wyrażał swoją opinię. Jego niekonwencjonalne sądy często zrażały do niego kolegów partyjnych, leniwych umysłowo lub nauczycieli z przypadku, a jego żarciki przerażały ich i wprawiały w osłupienie. Niektórzy zazdrościli mu adoracji i szacunku młodzieży, mieli mu za złe jego wyjątkowość, charyzmę, jak to się dziś mówi.

Gugulski uważał swój zawód, zawód nauczyciela za powołanie, porównywał go jedynie z zawodem lekarza i duchownego. Uważał, że łączy on w sobie wiele elementów właściwych innym zawodom, np. zawodu aktorskiego. Sam był nauczycielem genialnym, tak określił go jeden z kolegów, który bywał na jego lekcjach, ponieważ Gugul, bo tak nazywała go młodzież, zapraszał innych nauczycieli na swoje lekcje, a potem prosił o opinię. Można sobie wyobrazić jego rozbawienie, kiedy na jednej z ostatnich ławek przeczytał: Broda mędrcom nie czyni Gugula i w tym parafrazę: Nie Broda mędrcom czyni Gugula. Za bardzo ważne zadanie nauczyciela-polonisty uważał skłonienie młodzieży do czytania. Uznał, że należy wszelkimi sposobami budzić chęć czytania, a ponieważ zdawał sobie sprawę ze swoistego kultu, którym otaczała go młodzież, zawsze starał się mieć pod pachą jakąś książkę. Często pytał o lektury indywidualne, formalnie badał czytelnictwo wśród swoich uczniów. Miał kajet, w którym notował nie tylko uwagi o zdolnościach czy postępach i postępkach ucznia, lecz także co czyta i jakie ma upodobania literackie. W uczniach widział ludzi, do których należy odnosić się życzliwie i taktownie, choć jednocześnie nie cierpiał spoufalania się, które czasem przydarzała się w stosunkach młodych nauczycieli z uczniami. Nie znosił też minoderii, jak zresztą wszelkiej nienaturalności. Z zasady był człowiekiem przystępnym i sympatycznym, ale strzegł pewnych granic w stosunkach z uczniami, pozwalał na różnorakie domysły i interpretacje zjawisk literackich, czasem niezbyt mądre, ale pod koniec lekcji zawsze wprowadzał porządek i prostował ścieżki, jeśli tak można się wyrazić.

Wiedział, że jest świetnym nauczycielem i wychowawcą, a jednak był w nim jakiś pierwiastek wiodący go ku samounicestwieniu, a który doprowadził go do choroby alkoholowej. Przecież szanowali go nawet ideowi wrogowie, widząc w nim zapewne bezkompromisową uczciwość i geniusz pedagogiczny. Miał też bardzo kochającą i oddaną mu rodzinę i chociaż władze szkolne przenosiły go do innych szkół, wszędzie cieszył się szacunkiem i autorytetem. Dużo i ambitnie czytał, choć lubił też kryminały, w szczególności Georges Simenona. Lekturami chętnie się dzielił z kolegami, lubił kino, teatr, także sztuki plastyczne, chyba najmniej interesowała go muzyka. Był człowiekiem wierzącym i praktykującym, choć niebezkrytycznym wobec Kościoła i kleru. Najwyższym szacunkiem darzył ks. Jana Ziębę, a także ks. Jacka Salija i ks. Januarego Budziszę za prawdziwie ewangeliczne cnoty ubóstwa i pokory. Po operacji, która usunęła tylko część nowotworu, zaczął żegnać się z życiem. W zeszycie formatu A4 notował tematy lekcji, które zrealizował na poszczególnych poziomach oraz tematy prac pisemnych, które zadawał uczniom. Z tego co wiem, pokazywał to przynajmniej jednej osobie z prośbą o opinię. Żonę prosił o pochówek w Laskach, tam też został pochowany, tyle że na cmentarzu parafialnym, a nie w Zakładzie dla Niewidomych.

Jesienią 2001 roku prof. Jerzy Axer, uczeń Gugulskiego, otworzył w Laboratorium Edukacyjnym Ośrodka Badań nad Tradycją Antyczną Uniwersytetu Warszawskiego salkę im. Ireneusza Gugulskiego. Uroczystość tę poprzedziło wprowadzenie prof. Axera „Po co się spotkaliśmy?” oraz dyskusja „Misja współczesnego nauczyciela”. Wspominano też Ireneusza Gugulskiego. W spotkaniu tym uczestniczyła rodzina Profesora, jego uczniowie i moja matka prof. Anna Modrzejewska.

Tak mówi o Annie Modrzejewskiej Andrzej Rosner, matura 1967, historyk, obecnie wydawca: „Jeżeli chodzi o nauczycieli, którzy najwięcej mi dali, to zdecydowanie pani mama i to mówię bez żadnego wahania, bo to była znakomita nauczycielka i powiem coś więcej, dzisiaj jak patrzę z perspektywy

tych wszystkich lat, to jestem pełen podziwu dla niej z jeszcze jednego powodu. To był ostatni męski rocznik w Reytanie, mama była w końcu starsza od nas o niewiele lat i myśmy wszyscy się w niej podkochiwali, krótko mówiąc, to było oczywiste zupełnie, była to młoda, pełna wdzięku, urocza i bardzo piękna,... piękna to może złe słowo, to coś więcej chyba, nie chodziło o klasyczne piękno, a o taki typ urody, który się pamięta bardzo. Jeśli o mnie chodzi, nie lubię urody lalkowatej, w której nie ma inteligencji, gdzie są puste oczy, otóż tu nic takiego nie da się o mamie powiedzieć, tu widać było żywą, błyskotliwą inteligencję, która rozświecła twarz. To, że duża część z nas się w mamie podkochiwała, na pewno nie ułatwiało jej pracy i co więcej, wziąć za twarz taką klasę złożoną z trzydziestu chłopów, bardzo chyba zgraną i solidarną, to nie było takie proste. Ja myślę, że jej się to udało w sposób budzący podziw, była w końcu bardzo młodą osobą wtedy i to było niezwykle. To były prawie jedyne lekcje, na których była cisza jak makiem zasiał, mama miała u nas szalony autorytet. Mama była pedagogiem z Bożej łaski, to się rzadko zdarza pewnie. Jej lekcje były też świetne intelektualnie, pewnie były porównywalne do lekcji Gugulskiego. Oni byli zupełnie inni w osobowości z Irkiem, ale potrafili mówić równie zajmująco i równie mocno potrafili przykuć uwagę uczniów”.

Tak mówi o Annie Modrzejewskiej i Ireneuszu Gugulskim Stanisław Falkowski, matura 1972, doktor polonistyki, dziś nauczyciel: „Polskiego mnie przez trzy lata uczyła pani mama, a przez rok zastępował ją Gugulski, bo to pani brat, Szymek, miał się wtedy urodzić. Gugulski uczył mnie w drugiej klasie. Myślę, że mogę powiedzieć o każdej z tych postaci dwie rzeczy. O pani profesor Modrzejewskiej, że sądzę, iż wyróżniała się dwiema sprawami. Po pierwsze, właśnie w jej obecności się czuło, że literatura jest czymś ważnym. Mnie się wydaje, że ja chciałbym uczyć inaczej. Jednak w miarę upływu lat coraz większego szacunku nabieram dla tamtego sposobu uczenia, w miarę poczucia rosnącej własnej bezradności. Czuło się na tych lekcjach, że literatura jest sprawą życia i śmierci. Nie jest czymś, co poznajemy dlatego, że nam kazali

poznawać, że w programie jest wpisane. Druga rzecz, że pani profesor Modrzejewska była nauczycielką, z którą można było poza protokołem lekcji porozmawiać. To były rozmówki krótkie, takie na jakie pozwalała szkolna pauza, natomiast były one rzeczowe i zawsze życzliwe. Istniał kontakt między nauczycielem a uczniami. Pamiętam, że kiedyś się dopytywałem o tatrzańskie marszruty Żeromskiego i na ten temat rozmawialiśmy w pewnej chwili. Ciekawa sprawa, jednak muszę dodać jeszcze rzecz trzecią. Solżenicyn dostał Nobla w 1971, jeśli dobrze pamiętam, trudno było ten fakt ukryć, mimo że komuniści niechętnie ten fakt widzieli. Uczniowie w pewnej chwili zapytali panią od polskiego, co sądzi o tym. Pamiętam, co odpowiedziała. Odpowiedziała, że wydaje jej się, że mniej z powodów literackich, a bardziej ze względu na to, o czym pisze, dostał nagrodę. Dziś, z dystansu wydaje mi się, że być może ta odpowiedź była nie tylko ścisła, ale i trafna. Z literackich powodów Nobla powinien dwadzieścia lat wcześniej dostać Herling, bo „Inny świat” to po prostu jest dużo większej klasy artystycznej literatura niż „Archipelag Gułag”. Dlaczego o tym opowiadam? Dlatego, żeby powiedzieć, że ten przykład pozwalał sprawdzić, czy mogliśmy liczyć na zaufanie nauczycielki polskiego. Mogliśmy liczyć, nie powiedziała nam niczego nieprawdziwego, żadnej kalumnii, która była w „Trybunie Ludu”. Co więcej, podzieliła się rzeczową refleksją na ten temat. Jestem jej winien wdzięczność, taką ogólną, życiową, za jedno zdanie na temat wypracowania, które było w czwartej klasie - „Każdy jest odpowiedzialny za wszystko”. Jedna z trzech najważniejszych w moim życiu osób, które mówiła mi coś o odpowiedzialności. Ona powiedziała to jednym zdaniem. Temat jednego wypracowania może mieć znaczenie dla ucznia na całe życie.

Co do Gugulskiego to także w jego obecności czuło się, że literatura jest sprawą śmiertelnie poważną, że dotyczy naszego życia i że dotyczy jego, naszego nauczyciela osobiście. (...) Rzeczywiście w kontakcie z nim czuło się, że on mówi o rzeczach, które go do żywego obchodzą, tak sędzę. Druga ciekawa

rzecz to jest to, że on nawet gdyby uczył chemii, wyróżniałby się sposobem bycia, zachowania, rozmawiania z uczniami i osobistym podejściem do tego, o czym mówił. Wyróżniałby się na tle szarej, peerelowskiej rzeczywistości. Generalnie różnica między Gugulskim a peerelem była taka, jak sądzę, że w peerelu było szaro, a tam gdzie się zjawiał Gugulski, było widać, że mamy przed sobą kogoś, kto ma własne zdanie, niezależne od tej szarości - zielone albo czerwone, albo czarne, albo jakie tam sobie wyobrażał. Były dwie rzeczy, to teraz będzie trzecia. O tym nie wie nikt, tylko ja. Nic wielkiego, ale szczegół, który maluje jednak osobowość profesora. Pierwsze nasze spotkanie osobiste było w dniu egzaminu wstępnego. Na tym egzaminie trzeba było napisać wypracowanie. Ja przystąpiłem do pisania tego wypracowania z arcy-starannością, cyzelując każdą literę, używając pisma prawie technicznego. Podszedł do mnie Gugulski i powiedział: Syneczku, nie pisz w taki sposób. On kazał mi pisać w sposób bardziej naturalny, wiedząc, że w takim tempie nie zdążę napisać tego egzaminu. Tak to wyglądało. Ten człowiek cokolwiek szorstki, często ironiczny, czasem nieco brutalny chyba w podejściu do uczniów, był w pewien sposób uważny czy nawet czuły. Dbał o tego chłopczyka, który przyszedł na egzamin wstępny, żeby mu się nie powinęła noga z takiego głupiego powodu. Na pewno w indywidualny sposób podchodził do uczniów, a nie tylko sam wyróżniał się indywidualnością”.

Wspomina Sławomir Mazurek, matura 1979, polonista i filozof, dziś pracownik naukowy: „Pamiętam oczywiście panią profesor Annę Modrzejewską, która miała bardzo duży wpływ na moje życie, bo w jakiś sposób sprawiła, że ja zostałem humanistą, lepszym czy gorszym, ale humanistą. Na pewno był dla mnie bardzo ważny kontakt z tą osobą”.

W ten sposób młodzież nauczycielska miała od kogo uczyć się zawodu. Ze wspomnień mojej matki wynika, że najwięcej skorzystała jako nauczycielka od prof. Marii Kikolskiej - biologa oraz od prof. Jana Kozickiego matematyka, ale właściwie od każdego nauczyciela można było czegoś się nauczyć.

Profesor Marię Kikolską wspomina Andrzej Rosner, matura 1967: „Panią Kikolską pamiętam bardzo dobrze i uważam, że wiele mi w życiu dała. Wszyscyśmy jej się strasznie bali, drżeliśmy ze strachu, bo to nie było łagodne zjawisko. Nikt tak nas nie uczył myślenia jak ona. Krótko mówiąc, bardzo szybko ona potrafiła nas wydobyć z takiego typowo szkolnego sposobu nauki - wkuwania na pamięć, z odrabiania lekcji odtąd - dotąd. Ona potrafiła być bardzo niemiła, jeśli ktoś nie myślał. Pamiętam taką lekcję, zaraz na samym początku, chyba gdzieś w trzecim miesiącu naszej bytności w Reytanie. Jeden z moich kolegów na jej zapytanie, jak sądzi, na jakiej bazie zrobiony był bulion, na którym hodowano jakieś tam bakterie, odpowiedział, że tegośmy jeszcze nie przerabiali, nie czytali tego fragmentu podręcznika. No i po prostu był atak furii z jej strony. Ty nie masz czytać podręcznika, tylko masz po prostu myśleć, powiedziała. Te lekcje były często pełne grozy, ale większość z nas szybko nauczyła się to doceniać. To rzeczywiście była nauka bardzo porządnego myślenia, logicznego i porządnego myślenia, co mi się niesłuchanie potem przydało na przykład na studiach, w ogóle w dorosłym życiu. Ona nam strasznie dużo dała przez ten rok. Nie powiem, żeśmy ją kochali, ona nie dawała się kochać, ale potem zrobiła się urocza starsza pani. Natomiast w tamtych czasach jeszcze była bardzo groźna, rzucająca gromy i trudna do zaakceptowania w relacji uczeń-nauczyciel w pierwszej chwili, ale naprawdę nauczycielka z Bożej łaski. Myślę, że była rewelacyjna jako nauczycielka. Z tej dawnej, dobrej, przedwojennej generacji nauczycieli z najlepszymi tradycjami”.

O Aleksandrze Gutkiewiczowej mówi Andrzej Rosner, matura 1967: „Ja ją oceniam dość krytycznie, nie była najlepszą nauczycielką matematyki, podobno jej mąż był lepszym fizykiem, niż ona matematyczką. Ponieważ ja sam mam doświadczenia dydaktyczne, w końcu przez dziesięć lat byłem potem nauczycielem akademickim, więc z tej perspektywy mogę ocenić jako pedagoga bardzo średnio. Ona była nierówna, kierowała się sympatiami i antypatiami. Ja byłem raczej otoczony jej sympatią, więc mówię to nie z pozycji człowieka

prześladowanego, broń Boże, wręcz odwrotnie. Jako wychowawca nie miała na mnie wpływu, a jako nauczycielka nie utkwiała mi raczej w pamięci. Jedno dobre można o niej powiedzieć, że przy wszystkich swoich sympatiach i antypatiach nigdy nie rozpętywała żadnych polowań na czarownice i nie próbowała nikogo niszczyć, przynajmniej w mojej klasie”.

Dyr. Wojciechowski rzadko przychodził do pokoju nauczycielskiego, zostawiał nauczycielom dużo swobody. Oczywiście wszystkie inne programy przedmiotowe były takie same jak w innych szkołach, tego władze szkolne przestrzegały bardzo ściśle. W programie chyba ósmej klasy znalazła się lektura powieści Kazimierza Brandysa „Miasto nieujarzmione”, więc moja mama uznała, że lepiej omówić „Matkę Królów”, co spotkało się ze stanowczym sprzeciwem wizytatorki. I pouczeniem, że nigdy i pod żadnym pozorem nie wolno nauczycielowi wybierać do omówienia pozycji spoza listy lektury.

Ważną rolę w szkole odgrywała biblioteka i czytelnia oraz bibliotekarka pani Halina Obertyńska, człowiek wysokiej kultury osobistej, świadomy pozycji książki i czasopisma naukowego.

Wspomina Małgorzata Naimska, matura 1971: „Atmosferę szkoły tworzyli nie tylko nauczyciele i nie tylko dyrektor. Dyrektor zebrał takich ludzi, którzy tworzyli tę atmosferę w całości, to znaczy tam również bardzo ważną osobą była bibliotekarka pani Halina Obertyńska (...) ona podsuwała nam dobre książki do czytania. Jak ktoś z nas miał dostać nagrodę, to ona z nim ustalała, jaka to będzie książka. Ja dostałam dzięki niej jako nagrodę „Mistrza i Małgorzatę”, o której nic nie wiedziałam - ona oczywiście wiedziała. (...) I ona była w stanie nam podpowiedzieć bardzo wspaniałe rzeczy. Odkąd ją poznałam, dużo przerw spędzałam w bibliotece, okładając książki po to, by jej posłuchać. Była naprawdę niesamowitą osobą, mądrą, niezwykle kulturalną, inteligentną. Do niej można było przyjść z każdym problemem i ona zawsze mądrze umiała poradzić”.

Wspomina Włodzimierz Bolecki, matura 1971: „To była niezwykła osoba (Halina Obertyńska), nawet bym powiedział, że taka ostatnia bibliotekarka pisana przez duże B. (...) Jej największą troską było to, by uczniowie czytali książki, po drugie to, żeby te książki kupować do szkoły, po trzecie, to żeby dla każdego ucznia dobrać odpowiednią książkę i właściwie wszyscy mieli takie wrażenie, że ona dokładnie wie, co jaki uczeń lubi lub powinien przeczytać i co właśnie wypożyczył. Nadzwyczajne było to, że ona wiedząc, jakie są zainteresowania poszczególnych uczniów, potrafiła zdobywać książki, których nie było w księgozbiórze szkolnym i z wielkim triumfem oznajmiać, że właśnie kupiła jakąś książkę. A największą jej radością była rozmowa z uczniami starszych klas, uczniami, którzy chwalili się, że kupili lub przeczytali jakąś książkę. Była to niezwykła pani i można powiedzieć, że ona realizowała w Reytanie taką misję bibliotekarstwa, bardzo wspomagała wszystkich nauczycieli”.

Chyba każdy nauczyciel prosił o prenumeratę czasopisma metodycznego swojego przedmiotu, prenumerowano także prasę codzienną, czasopisma społeczno - kulturalne oraz wiele miesięczników i kwartalników, jeśli tylko nauczyciel zgłaszał takie zapotrzebowanie. Część księgozbioru pochodziła jeszcze sprzed wojny, ktoś go przechował.³ Książki kupowano także na nagrody dla najlepszych uczniów, po prostu z książkami obcowano na co dzień.

Istniały także liczne koła zainteresowań, koła sportowe, muzyczne i artystyczne, np. Koło Miłośników Sztuki, które uzyskało z Zachęty wiele obrazów polskich twórców, które po dziś dzień wiszą w szkole. Mówi Małgorzata Naimska, matura 1971: „Osobowością, która wbiła mi się w pamięć była pani Maria Pomaska, to była Pani, która uczyła nas rysunku. Osoba

³ 1 Kaja Korneliusza Tacyta Dzieła wszystkie przekładanie Adama Stanisława Naruszewicza t.I w Warszawie w Drukarni No 646 przy Nowolipiu 1804

Aleksander Dumas (ojciec), Hrabia Monte Christo t.I Warszawa Nakładem Biblioteki Rodzinnej 1929 (pieczęć: Gimnazjum im. Tadeusza Reytana w Warszawie Biblioteka w środku orzeł w koronie) nr.inw.3543

Do Matek Polskich słów kilka o przyszłości wzrastających pokoleń przez K.N., Lipsk nakładem Księgarni Zagranicznej 1843 (pieczęć: szkoła 7-klasowa realna Marjana Rychłowskiego)

niezwykłej kultury, taka prawdziwa dama. (...). Tłumaczyła nam różne zagadnienia typu: perspektywa, rozłożenie światła, cienia, kolorystyka. Uczyła nas też historii sztuki. Ona spowodowała, że duża część klasy należała do Koła Miłośników Sztuki. Pamiętam, że na przykład metodę miała taką, że z tego Centralnego Biura Wystaw Artystycznych przy Zachęcie sprowadzała takie wystawy reprodukcji, strasznie już wysłużone, do swojej pracowni. Wieszala je i kazała przygotowywać nam referaty dotyczące tej wystawy. Mnie kazała to zrobić na temat Picassa, którego ja nie znosiłam, ja go w ogóle nie rozumiałam kompletnie. Wydawało mi się, że jest beznadziejny i nie chciałam tego robić, a ona powiedziała, że właśnie dlatego prosi, bym to zrobiła. Muszę powiedzieć, że kiedy to zrobiłam, to polubiłam Picassa”.

Panią profesor Pomaską wspomina Stanisław Falkowski, matura 1972: „Ona chyba nie bardzo wiedziała, czego ma nas uczyć. Nie pamiętam, czy uczyła nas jakiś praktycznych umiejętności, czy mieliśmy coś malować albo rysować. Nie uczyła nas chyba systematycznie historii sztuki, ale czegoś musiała nas uczyć. Sprowadzała do szkoły takie przez „Zachętę” wypożyczone reprodukcje obrazów wielkich mistrzów, one wisiały na korytarzach szkoły i w pracowni, w której ona prowadziła lekcje. Spotkanie z nią z całą pewnością zaowocowało świadomością jednego, że impresjoniści byli wielcy, prawie święci. Właściwie ja niewiele się nauczyłam na jej lekcjach bezpośrednio, natomiast pamiętam atmosferę - nie było wątpliwości, że przedmiot, którego ona uczy, to jest coś ważnego dla świata”.

Prof. Stefania Światłowska prowadziła kursy greki dla chętnych, a ponieważ nie było ich wielu, więc nie pobierała za to wynagrodzenia. Wspomina Małgorzata Naimska, matura 1971: „Moja ukochana nauczycielka to pani Stefania Światłowska, łacinniczka. U nas w klasie matematyczno - fizycznej łaciny nie było, a ja się zgłosiłam na łacinę dodatkowo i pani Światłowska pozwoliła mi przychodzić na tę łacinę. Jednak tak mi się ułożyło w pierwszym okresie, że mogłam przychodzić tylko na co drugą lekcję, tak mi się plan

układał. Przychodziłam na tę co drugą lekcję i okropnie sobie bimbałam, bo mi się to wszystko wydawało bardzo proste, aż do pierwszego pytania, gdy mnie pani Światłowska zapytała i kazała odmieniać „bonus nauta” i ja nie umiałam tego dobrze odmienić. Na to pani Światłowska z marsową miną orzekła, że myślała, że skoro ja się sama zgłosiłam, to będę najlepsza. Zrobiło mi się okropnie głupio i potem wszystkiego się już nauczyłam i dostałam piątkę. W drugiej klasie wygrałam olimpiadę łacińską, więc ona mnie już bardzo pokochała i od tamtej pory jesteśmy w bardzo dobrej komitywie. Ona zresztą mi bardzo pomogła, przez te trzy lata bardzo dbała, bym mogła chodzić na jej lekcje, jednak w czwartej klasie to już nie było możliwe, gdyż zajęcia odbywały się fakultatywnie, przedmiotami nie klasami i nie dało się tego pogodzić. Zadeklarowałam, że idę na fizykę i wydawało mi się, że ta łacina do niczego mi nie jest potrzebna, a jeszcze w trzeciej klasie zaczęłam uczyć się greki, ona dodatkowo nam zrobiła lekcje greki, chodziliśmy na nie i bawiliśmy się trochę tą greką. Poszłam do niej i powiedziałam, że muszę zrezygnować z łaciny i z greki, gdyż wybieram się na fizykę i nie mam jak chodzić na te lekcje. Na to ona mi powiedziała: Moja droga, ona tak zawsze mówiła. Moja droga, nie po to chodziłaś przez tyle lat, z taką ilością wyrzeczeń miałaś do czynienia, nie po to chodziłaś przez te trzy lata na łacinę, żebym ja ci miała na maturze nie postawić stopnia. Z greki, proszę bardzo, możesz zrezygnować, nie musisz jej mieć na maturze, ale z łaciny ja chcę ci postawić stopień na maturze. Będiesz do mnie przychodzić raz w miesiącu i zaliczać. Wyglądało to tak, że pani Światłowska łapała mnie mniej więcej raz w miesiącu na korytarzu i mówiła: No to kiedy przyjdiesz zaliczyć? Wtedy zaczynałam uczyć się tej łaciny do upadłego i taką studencką metodą ją zaliczałam. Przychodziłam zazwyczaj przygotowana i ona mnie odpytywała, a potem żeśmy dwie godzinki sobie siedziały i gadały. Opowiadała mi różne niezwykle ciekawe rzeczy i to naprawdę był bardzo miły, dobry kontakt. Potem postawiła mi piątkę na maturze. Później się okazało, że ja rezygnuję z tej fizyki i idę na orientalistykę i że tam akurat mogę być zwolniona

z egzaminu dzięki olimpiadzie łacińskiej i temu, że mam na maturze stopień. Poszłam do niej i opowiedziałam jej o tym, a ona dawała to potem jako przykład, jak to nigdy nie wiadomo, co w życiu się przyda”.

W ogóle nauczyciele rzadko upominali się o wynagrodzenie i ze zrozumieniem podchodzili do dodatkowych obciążeń czasowych: uważali za oczywiste, że wszędzie i zawsze muszą towarzyszyć swoim wychowankom. Tak mówi o profesor Światłowskiej Stanisław Falkowski, matura 1972, dziś doktor polonistyki, nauczyciel: „Wychowawczynią mojej klasy była profesor Stefania Światłowska. Niecały rok temu rozmawiałem z nią osobiście. Pani Światłowska ma w tej chwili 89 lat, jeżeli dobrze pamiętam. Trudno jej było nie zapamiętać. Wygląda na to, że mniej więcej od stworzenia świata, a przynajmniej od potopu, uczyła łaciny w Reytanie. Ona zaczęła uczyć chyba w 1936 roku. Dwa skojarzenia, które mi przychodzą do głowy w związku z nią, to taka nieco staroświecka rzetelność, staranność, skrupulatność i ogólna życzliwość w tonacji stoickiej powściągliwości. Ze Stefy, bo tak jak wiadomo badaczom przedmiotu, się ją określało, emanował taki spokój na silnym fundamencie. Powaga podszyta życzliwością, chyba wielka wiedza, której do dziś nie jestem w stanie ocenić, bo cóż ja tam wiem z filologii klasycznej. Niemniej wiem, że jest współautorką słownika polsko-łacińskiego¹, co coś znaczy, prawda? Ona nas uczyła także angielskiego. W tym angielskim ona sama czuła się chyba zdecydowanie słabsza, tak myślę. Natomiast pamiętam takie epizody, które wydają mi się trochę wzruszające, a trochę dokumentujące jej wiarygodność jako człowieka i jako nauczyciela. Mianowicie bywało, że nie była czegoś pewna na lekcjach angielskiego, na przykład wymowy jakiegoś słowa. Wtedy prosiła o zweryfikowanie swojej koncepcji koleżankę, która jakiś czas spędziła w Stanach Zjednoczonych i umiała lepiej mówić po angielsku. To było ładne. To ciekawy przykład, bo ani przez chwilę nie było wątpliwości, kto tu jest nauczycielem i

¹ Mały słownik polsko-łaciński, redakcja naukowa Lidia Winniczuk Wydawnictwo Szkolne PWN Warszawa 1997 opracowanie: Karolina Holzman, Krystyna Kruczyńska, Jadwiga Sadowska, Bożena Sajna, Jan Sękowski, Stanisław Skała, Stefania Światłowska, Lidia Winniczuk, Jadwiga Żuławska

jaka jest hierarchia. Ta hierarchia nie była oparta na żadnym udawaniu, ona nie udawała, że wie to lepiej od kogoś z nas. Szukała prawdy w tej sprawie, mówiąc górnolotnie. Dbała o uczniów. Może jej matczyne stosunek do nas był związany z tym, że o ile wiem, sama nigdy nie miała dzieci, o ile wiem nie miała też męża, nigdy się o tym nie mówiło ani nie słyszało”.

Tak wspomina profesor Światłowską Sławomir Mazurek, matura 1979: „Jeśli chodzi o profesor Światłowską, to muszę powiedzieć, że to jest osoba, do której mam duże pretensje dlatego, że jeśli ktoś mnie potrafił zrazić do antyku, to właśnie ona. Uważam, że pani profesor Światłowska, choć była bardzo dobrym filologiem, to jako dydaktyk, jako nauczycielka łaciny miała zasadniczą zupełnie wadę, mianowicie ona nie potrafiła zainteresować kulturą antyczną. W jej wydaniu ta kultura antyczna była czymś tak potwornie nudnym, tak płaskim, że niesłychanie zrażała i ja przez wiele lat żyłem z tym. Dopiero na czwartym roku studiów przełamałem w sobie ten opór i poszedłem zdawać egzamin z literatury klasycznej, co oznaczało, że jakoś się uwolniłem od tego kompleksu, który zostawiła we mnie profesor Światłowska. A tak naprawdę dopiero ostatnio zacząłem sięgać po pisarzy łacińskich i czytam ich ze słownikiem. Ale uwaga, tu przechodzimy do czegoś istotnego, jeżeli ja ich jednak czytam z tym słownikiem, to znaczy, że czegoś tam się nauczyłem. I tu opowiem anegdotę - byłem niedawno na randce z zawodową filolożką klasyczną. I jak wygląda taka randka? Otóż ona zaczęła mnie odpytywać z deklinacji i ja niesłychanie zaskoczyłem ją moją wiedzą z łaciny. Mało tego, okazało się, że niektóre fragmenty z mów Cyncerona to pamiętam lepiej od niej. Zrobiłem więc na niej kolosalne wrażenie, a gdy potem jeszcze powiedziałem, absolutnie zgodnie z prawdą, że należałem w klasie do średniaków, to ona powiedziała tak: - Jak przed wojną! Okazuje się więc, że z tej wiedzy przekazanej mi przez profesor Światłowską mogę zrobić użytek zupełnie przez nią nieprzewidziany. Ale to nie zmienia faktu, że Światłowska, po pierwsze, stwarzała atmosferę niesamowitego strachu na lekcjach, co bardzo utrudniało, drugie, nie potrafiła nauczyć, nie

potrafiła zainteresować kulturą antyczną. Gugulski mówił o niej, że ma mentalność rzymskiego kaprała. To, co mówił Gugulski, trafiało absolutnie w sedno dlatego, że pani profesor Światłowska nosiła takie buty, które często były też noszone przez panie w sklepach. Te buty były wykonane z płótna, ale miały dokładnie krój rzymskich kalig, to były dokładnie rzymskie kaligi, można by więc nazywać ją też Kaligulą. Gugulski trafił w sedno!”

Sławomir Mazurek, matura 1979 tak wspomina profesora Żurawskiego: „Profesor Żurawski uczył mnie tylko przez pierwsze dwa lata i wtedy był już człowiekiem dosyć wiekowym. W sensie poznawczym to lekcje z nim były bardzo ciekawe. On dosyć szybko omijał cały ten okres historii starożytnej, uważał, że tego możemy nauczyć się sami z podręczników i uczył nas historii Polski. Uczył nas wykładając, tak się poznawało prawdziwą historię Polski.(...) Pamiętam chociażby taki szczegół: Żurawski, opowiadając o wojnach kozackich, bardzo duży nacisk kładł na to, że w pewnym momencie Chmielnicki poddał Ukrainę Rosji, a nie zjednoczył Ukrainę z Rosją. We wszystkich podręcznikach napisane było, że zjednoczył, a Żurawski zawsze podkreślał, że poddał, tym samym akcentując niepodległość Ukrainy. Żurawski był jednak dokładnym przeciwieństwem Światłowskiej, gdyż nie potrafił utrzymać takiego rygoru. Lekcje jednak były na tyle ciekawe, że potrafił nas zmusić do skupienia, tak ciekawie przedstawiał przedmiot, ale na klasówkach było ściąganie. Wiadomo jednak było, że on jest łagodny, że nikomu nie postawi dwóci. Trochę w tych lekcjach było takiej fikcji”.

Jednym z najstarszych nauczycieli Reytana był matematyk prof. Jan Kozicki, również jeden z pomysłodawców olimpiad matematycznych. Pomysł olimpiad przedmiotowych okazał się tak nośny, że zaowocował wkrótce także olimpiadą fizyczną, chemiczną, biologiczną oraz polonistyczną, historyczną i olimpiadami językowymi.

Początkowo Reytan miał osiągnięcia głównie w dziedzinie nauk ścisłych, tzn. swoich finalistów i laureatów olimpiad matematycznych i fizycznych, którzy

szli bez egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie, co w dobie trudności w dostaniu się na wyższą uczelnię młodego człowieka z inteligentnego domu i z dużego miasta stanowiło dodatkowy bodziec do startu w konkursie, ale chyba najważniejszy był jednak bodziec naukowy i ambicjonalny. Dość szybko korzyści płynące dla szkoły z posiadania dużej ilości olimpijczyków zostały zauważone przez środowisko i zmanifestowały się zwiększoną ilością kandydatów. Wśród matematyków należy przede wszystkim wymienić prof. Jana Kozickiego, jednego z pomysłodawców Olimpiady Matematycznej, a także Wandę Kiersnowską, Aleksandrę Gutkiewiczową, Jana Nowakowskiego, którego tak wspomina Sławomir Mazurek, matura 1979: „Był osobą niezwykle malowniczą. Miał taki własny styl prowadzenia zajęć. Był osobą bardzo lubianą. Miał taką niezwykle oschłą, powściągliwą, wręcz brytyjską formę obcowania z klasą i z uczniami. Dla mnie profesor Nowakowski to był stuprocentowy Anglik. On miał nawet taki zupełnie wiktoriański profil”.

Panią profesor Wandę Kiersnowską wspomina Stanisław Falkowski, matura 1972: „Zapamiętałem ją jako osobę surową, rzetelną, niezbyt uśmiechniętą. To jest jedna z osób, dla której żywię wdzięczność na całe życie. Wywołała mnie kiedyś do odpowiedzi i ja nie umiałem rozwiązać zadania. Wobec czego ona powiedziała: Siadaj, Falkowski, i wywołała do tablicy Ostrowskiego, który był prymusem. I gdy on rozwiązywał zadanie, ja wpadłem na pomysł, jak je rozwiązać i zerwałem się ze swojego miejsca, i krzyczę, że już wiem i nawet chyba podszedłem do tablicy, by dokończyć rozwiązanie. A pani profesor Kiersnowska powiedziała: Teraz jest czas na rozwiązanie Ostrowskiego. Niebываła nauka! Nauka nie matematyki, ale życia! Genialne po prostu! Jestem jej za to serdecznie wdzięczny”.

Wśród fizyków nie miał sobie równych Jerzy Ratajczyk, tak go wspomina również Stanisław Falkowski, matura 1972: „W czwartej klasie uczył nas profesor Jerzy Ratajczyk. Geniusz dydaktyki! Spośród nauczycieli, których spotkałem w Reytanie, do niego najbardziej chciałbym być podobny w sensie

umiejętności techniczno-dydaktycznych, tak sadzę. Ja do dziś myślę o jego lekcjach z wdzięcznością. Wspomnienia związane z Ratajczykiem są takie: jego lekcje się supersprawnie toczyły do przodu. Jego lekcje zaczynały się wraz z dzwonkiem, nie można było zebrać się po dzwonku i wejść do klasy, żeby zająć miejsca przy stolikach czy ławkach uczniowskich. Można by było porównać początek lekcji Ratajczyka z początkiem wyścigu na regatach żeglarskich, kiedy jak wiadomo, przed linią startową poszczególne żagłówki krążą, żeby zająć najdogodniejsze miejsce do startu i trzeba tam już być, nie można dopiero przybyć, gdy zabrzmi wystrzał startowy. Wraz z dzwonkiem, najpóźniej w tym momencie, należało wkroczyć do klasy i wyglądało na to, że jak dzwonek kończył dzwonić, to lekcja już trwała. Zaczynało się od tego, że profesor kogoś pytał na stopień, jedną czy dwie osoby i jak postawił trójkę czy inny należy stopień, to z pierwszej ławki zrywała się niejaka Ewa Ważny, koleżanka, która siedziała w pierwszej ławce i mówiła: Panie profesorze, genialnie odpowiadał, jak można, taki mały stopień... skąd znowu?! Ratajczyk patrzył na nią, uciszał ją ręką, potem przechodził do tematu. Może być zresztą, że jakoś specjalnie mile zapamiętałem te lekcje, bo on uczył o miłych, może łatwiejszych niż inne rzeczach. Uczył nas też astronomii. To, co mówił, było ciekawe, było zrozumiałe, jednak z perspektywy humanisty wiązało się z życiem, bo doświadczenia czy wyliczenia, które on prowadził, kończyły się na tym, że on następnie mówił, jakie to ma znaczenie dla rakiety kosmicznej albo czajnika, w którym gotujemy herbatę. Potem na koniec znajdował jeszcze czas, żeby opowiedzieć dwa dowcipy. Wszystko było na miejscu na tych lekcjach. A obcowaliśmy z rzemieślnikiem-artystą na pograniczu genialności w wykonywaniu swojego fachu, tak sadzę. Przy tym było widać, że on to robi z uśmiechem, jakby występował na scenie baletu, na której tańczy. I teraz jeszcze inna ciekawa rzecz, mianowicie, że jego samego to cieszyło”.

Klasą sama dla siebie była prof. Maria Kikolska, biolog, wybitnym pedagogiem i nauczycielką łaciny, angielskiego i - dla chętnych - greki Stefania

Światłowska. Zdaje się, że najważniejszą osobą wśród humanistów był polonista i historyk Wiesław Żurawski., rocznik 1914, przedwojenny reytaniak. Cichy, delikatny, z wielkim, choć dyskretnym poczuciem humoru, kochał młodzież i swój zawód niezmiernie. Jego pogrzeb zgromadził taką ilość ludzi, jaką nawet Powązki rzadko oglądały. Oczywiście był także geniusz nauczycielski-polonista Ireneusz Gugulski i zapewne nie bez znaczenia stanowił fakt, że obaj nauczyciele zaprzyjaźnili się i spotykali się także poza szkołą. Na zewnątrz kolorytu szkole dodawali także w różny sposób wyróżniający się nauczyciele, jak np. nauczyciel geografii Stanisław Zawadzki, zwany Zorro, może z powodu swojego zamiłowania do filmu, uczęszczający do Iluzjonu, a potem opowiadający treść oglądanych filmów uczniom. Był także z ramienia rady pedagogicznej opiekunem harcerstwa i ogromnie lubił, ubrany w mundur harcerski, wprowadzać swój „oddział” np. na salę gimnastyczną podczas jakiejś uroczystości. Mimo swej dobrej prezencji i demonstrowanej na zewnątrz pogody ducha chował w psychice jakąś ostrą zadrę, być może związaną z faktem przynależności do pokolenia Kolumbów, a także z rodzinnymi tradycjami, które w Polsce Ludowej należało raczej przemilczeć. Sympatyczny Zorro popadł w alkoholizm, więc najpierw musiał prowadzić lekcje przy drzwiach otwartych na korytarz, a gdy i to nie powstrzymało go przed upijaniem się, został po wielu latach pracy w Reytanie zwolniony. Został zaopatrzeniowcem w jakiejś instytucji, podobno się leczył, ale wkrótce zmarł. Wśród reytaniaków żyje wciąż jego legenda, choć od jego śmierci minęło chyba ćwierć wieku. Sądzę, że jest to związane także z faktem przynależności, nie wiem, czy rzeczywistej, czy urojonej do Szarych Szeregów. Wydaje mi się, że legenda AK, formacji przecież nie tylko wojskowej, ale i duchowej odegrała w etosie reytaniaka ogromną rolę.

Zorra wspomina Stanisław Falkowski, matura 1972: „Geografii nas uczył pan Zawadzki, czyli Zorro. Tu są strzępy wspomnień, ale niesłychanie barwne. Kiedyś była geografia od pierwszej do trzeciej klasy, jeśli się nie mylę. Zorro

nie uczył niczego. Siedział za swoją imponującą katedrą w pracowni geograficznej, bardzo pięknie urządzonej zresztą. Niewykluczone, że nawet mówił, że to jest najpiękniej urządzona pracownia w tej szkole. Nie uczył niczego, tylko przez trzy lata gawędził z uczniami na lekcjach. Gawędził, przekomarzał się, opowiadał anegdoty - między innymi o swoim wuju, czy stryju, który w latach trzydziestych brał udział w wyprawie na Szpitzbergen. Uśmiechał się mile spod szczeciniastej czupryny. Czy szczeciniastej, tego nie jestem pewien, trzeba by sprawdzić, jak to wyglądało na zdjęciach. On chyba nie bardzo był w stanie zebrać myśli. On chyba był alkoholikiem i to chyba była cała tajemnica, tak przypuszczam. Chyba nigdy nikomu w żaden zamierzony sposób nie zrobił krzywdy. Nie wiem, dlaczego się nazywał Zorro, ale to przezwisko już zastaliśmy, jak przybyliśmy do szkoły”.

Na czele komitetu rodzicielskiego przez wiele lat stał właściciel piekarni pan Tadeusz Kałasa oraz dr Irena Krzeska, matka czterech synów, którzy kolejno stawiali się w murach Reytana, a teraz uczą się już tam ich synowie. Byli to ludzie naprawdę oddani szkole, otwarci na jej potrzeby i niezmiennie pomocni. Pan Tadeusz Kałasa zawsze dostarczał pieczywa np. na śniadania maturalne, a dr Krzeską, wielu reytaniaków pamięta jako ozdobę stołu przydialnego podczas różnych uroczystości. W ich pamięci pozostał też fakt, że w Tłusty Czwartek w pokoju nauczycielskim jeszcze wiele lat po ukończeniu szkoły przez Andrzeja Bliklego pojawiały się pączki. Rodzice działający w Komitecie Rodzicielskim towarzyszyli szkole w wielu sytuacjach, a dyr. Wojciechowski chętnie publicznie ich dopieszczał, tzn. wychwalał zaangażowanie i wkład w życie szkoły. Nie było to udawane. Rodzice pomagali, zdobywając dla szkoły różne deficytowe dobra, a dyr. Wojciechowski przyjmował różnych trudnych uczniów, z którymi nie radzono sobie w innych szkołach. Przyjmował także dzieci prominentów, których możliwości wykorzystywał dla dobra szkoły lub nawet poszczególnych nauczycieli, starających się np. o mieszkanie czy o zameldowanie w Warszawie. W ten sposób mieszkanie w Warszawie uzyskał

np. prof. Ireneusz Gugulski, bo dyr. Wojciechowski zdawał sobie sprawę z jego wyjątkowych uzdolnień pedagogicznych, ale jednocześnie nie angażował się w jego obronę, kiedy kuratorium przenosiło go do innej szkoły. Uważał, że nauczyciel musi ponieść konsekwencje swoich czynów, nie narażać szkoły na to, żeby władze przyglądały się zbyt drobiazgowo, np. działalności Czarnej Jedyńki. Faktem oczywistym jest, że dobro szkoły, tak jak je pojmował, było dlań najważniejsze.

Młodzież, która uczęszczała do Reytana wywodziła się głównie z inteligentnych domów, choćby nawet w pierwszym pokoleniu. Osiedle bezpośrednio sąsiadujące ze szkołą, w kwadracie ulic: Wiktorskiej, Kazimierzowskiej, Raławickiej i Al. Niepodległości, zaludniały rodziny wojskowych, a na niedalekim WSM (Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa) również mieszkało sporo inteligencji, często z tradycjami głębiej sięgającymi w przeszłość. Byli to nauczyciele akademicy, jak np. polonista prof. Juliusz W. Gomulicki, geograf prof. Stanisław Berezowski, twórcy, jak np. Tadeusz Peiper, Stanisław Dygat, wielu inżynierów (żeby daleko nie szukać, mój własny dziadek inż. elektryk Władysław Koch), urzędników, nauczycieli. Z czasem obydwie te osiedla zestarzały się, a zarazem szkoła zapewniła sobie rozgłos poziomem nauczania najpierw przedmiotów ścisłych, a potem także humanistycznych i przyrodniczych, więc uczniowie zjeżdżali się z całej Warszawy, ale także z Piaseczna, Zalesia, Pyr, Powsina, Grabowa, Konstancina. Fama głosząca, że prawie wszyscy absolwenci Reytana dostają się na studia, ściągała młodzież do szkoły. Wyniki szkół były corocznie liczone w ten sposób, że badano, ilu uczniów skończyło liceum w terminie. Wskaźnik ten nazywał się sprawnością szkoły. W Reytanie ta sprawność była zawsze wysoka, ok. 90%. Jeśli chodzi o dostawanie się na studia, szkoły otrzymywały dane na ten temat niebezpośrednio od uczelni, ale przez Kuratorium Okręgu Szkolnego. Tutaj średnia Reytana była jeszcze wyższa, ok. 95%. W latach 60. i 70. rywalizowały

ze sobą trzy licea: Reytan, Batory i Zamoyski. W latach 80. bezapelacyjnie najlepszy był Gottwald (dziś Staszic).

Cytowane przeze mnie wypowiedzi absolwentów pozwalają przyjrzeć się dokładnie nauczycielom Reytana. Badani bardzo szczegółowo opisują swych wychowawców. Ważną cechą, o której mówią, jest przedwojenność nauczycieli. Przedwojenny nauczyciel w opinii badanych to osoba kierująca się etosem polskiego inteligenta. Człowiek, dla którego zawód jest powołaniem i on owo powołanie bardzo rzetelnie wypełnia. Jest autorytetem dla uczniów dzięki znakomitemu merytorycznemu przygotowaniu. Zachowuje dystans, ale jest spokojny, życzliwy, kulturalny, ma dla uczniów szacunek, cieszy się ich zaufaniem. Wymaga myślenia, a nie wkuwania na pamięć. Niektórzy nauczyciele budzili w uczniach strach, jednak dziś po latach absolwenci mówią o nich z szacunkiem i z wdzięcznością. Natomiast nauczyciele powojenni, jak wynika ze słów absolwentów, starali się przełamać barierę dzielącą ich od uczniów. Nawiązywali z nimi kontakty do dziś pielęgnowane.

ROZDZIAŁ V

Czarna Jedyńka i Gromada

Ważną rolę w procesie wychowania odgrywała reaktywowana 27 lutego 1957 roku 1 Warszawska Drużyna Harcerzy im. Romualda Traugutta czyli Czarna (od koloru chust) Jedyńka, jedna z najstarszych drużyn harcerskich w Polsce, bo założona w 1911 roku. W czasie okupacji harcerze z Czarnej Jedyńki walczyli w Szarych Szeregach, do jawnej pracy wrócili w 1945 roku, by w 1949 roku rozwiązać drużynę, której groziło wcielenie do Organizacji Harcerskiej Związku Młodzieży Polskiej. Po 1957 roku znów zaczęło się likwidowanie enklaw prawdziwego harcerstwa i zastępowanie go odgórnie kierowanym, komsomolskim w formie i treści ZHP-em, ale reaktywowana wówczas Czarna Jedyńka nie dała się zepchnąć z drogi tradycji. Wspomina Andrzej Janowski, matura 1953, polonista, pedagog, profesor Akademii Pedagogiki Specjalnej, dyrektor Kolegium Nauczycielskiego. Nie on jest absolwentem Reytana, lecz przez wiele lat związany był z drużyną harcerską działającą w szkole: „W Reytanie drużynę harcerską chciał odtwarzać profesor geografii Stanisław Zawadzki i myśmy umówili się z nim, że on będzie drużynowym, a ja i mój

przyjaciół - Janusz Ankudowicz - jego przybocznymi. Tak było przez pierwsze pół roku, a później powstały dwie drużyny. (...) Mam wrażenie, że mieliśmy bardzo dobry kontakt z dyrektorem, ale to Zawadzki z nim się kontaktował. Wojciechowski wyglądał jak typowy przedstawiciel władzy ludowej i umiał rozmawiać z władzą, tak jak ona tego od niego oczekiwała. Dzięki temu mógł chronić i Jedynekę, i szkołę. (...) Kierownictwo harcerstwa chciało mieć takie grupy, na które zawsze można liczyć i Jedyńska była taką grupą, którą można było bez wstydu pokazać, którą można było się pochwalić. W zamian za ową dyspozycyjność miała Jedyńska zapewnioną pewną swobodę działania.”

Wspomina Marek Barański, matura 1960: „Rok po mojej maturze (1961) doszliśmy do wniosku, że zmienia się tak sytuacja w harcerstwie, że prowadzenie drużyny jest niemożliwe. Zmieniał się system, wprowadzano te metody Kuronia, walterowskie i nam się to tak nie podobało, że rozwiązaliśmy drużynę. A po roku doszedłem do wniosku, że można prowadzić drużynę. Z Jerzym Kijowskim odtworzyliśmy drużynę. Na początku prowadziłem drużynę z Kijowskim, a potem sam. (...) Pamiętam moje rozmowy z Andrzejem Janowskim, drużynowym Jedyński z lat 1956 - 1957. On nie był reytaniakiem, podobnie jak prowadzący z nim wówczas drużynę Janusz Ankudowicz. Jak miałem plany odtworzenia drużyny, to bardzo dużo rozmawiałem o tym z Janowskim. On mi powiedział, że jeżeli mam ochotę w ten sposób prowadzić drużynę, to pewnie za pół roku najdalej wezwą mnie na Mostowskich i zabronią. A ja mu powiedziałem, że być może, ale ja muszę mieć plan na pięć lat i przez te pięć lat mnie nie wezwali. Kłopoty były, ale zaczęły się znacznie później i były już z innymi sprawami związane. Tutaj miałem ogromną pomoc Wojciechowskiego w tym okresie. Rozmawiałem z Wojciechowskim o tych sprawach, o tym, co chcę robić w szkole - zawsze miałem poparcie. Nie tylko takie, że dawał jakieś tam pomieszczenie, bo to była prosta sprawa, szczegółów nie pamiętam, lecz wiem, że czułem taką życzliwość i pomoc. Parasol ochronny roztaczał nad całą szkołą. Jemu zależało, by ta szkoła wyglądała tak, jak

wyglądała. (...) Mówił kiedyś, że wezwano go do kuratorium i zarzucono, że wprowadza do szkoły katolickie święto - Tłusty Czwartek, a on powiedział, że to przecież święto pogańskie i nie zabronił tego, mimo iż naciskano, by tego nie robił. Myśmy czuli, że to jest drużyna, że to jest harcerstwo takie samo jak przed wojną i to było tylko punktem odniesienia. Wewnątrz drużyny czuliśmy się tak, jakby nie było komunizmu, po prostu. W szkole też tego się nie widziało. Oczywiście teraz gdybym zobaczył programy, podręczniki i tak dalej, to bym widział mnóstwo rzeczy, które by mnie raziły. W drużynie było tak, jakby nie było wojny. Dlaczego ona (drużyna) mogła istnieć tak długo? Spotykałem się z wieloma ludźmi, którzy byli zadowoleni z harcerstwa, ale było to harcerstwo zawsze dla nich, znaczy, że musi być dobry obóz, musi być przyjemnie, sympatycznie. U nas zawsze jak jechaliśmy na obóz, to celem stawianym przez komendę drużyny (później ja starałem się tak robić) to jest nie to, że my jedziemy na obóz, żeby nam było dobrze, tylko po to, by spełnić jakieś zadanie. To były akcje: Warmia i Mazury, pomoc we wsi w czasie żniw. To był główny cel i pewnie dlatego ta grupa istniała. Później przyszły inne cele, ale mam za mało wiadomości o tym, co było później. Istotną rzeczą było to, że było nam dobrze w tej grupie. Prowadziłem drużynę do roku 1965 lub 1966 - nie pamiętam dokładnie, to już pod koniec były harcerki, bo to już była szkoła koedukacyjna. (...) Jak prowadziłem drużynę, to jednym z celów, jakie sobie stawiałem, i to dokładnie pamiętam, to było to, że ponieważ komuniści robią, co mogą, by doprowadzić do atomizacji społeczeństwa, wobec tego ja będę temu przeciwdziałał, stworzę jakąś grupę, która pewnie mi się do niczego nie przyda, ale może komuś..., kiedyś... I okazało się, że w latach 70. grupa się przydała”.

Akcję Warmia i Mazury wspomina Ładysław Nekanda-Trepka: „Uczestniczyliśmy w akcji Warmia i Mazury, to była inicjatywa starszoharcerskiej drużyny akademickiej. Chodziło o odbudowywanie strat, które poniosła Polska na skutek działania komunistów i SB, chodziło o przekonywanie autochtonów do polskości. Jeździliśmy tam, by pomagać w

pracach polowych, ja sam jednego roku prowadziłem we wsi przedszkole, organizowaliśmy ogniska, chodziliśmy czwórkami do kościoła. Harcerze przyjeżdżali i mieli za zadanie stworzyć atmosferę Polski przyjaznej autochtonom, Polski, która ich docenia. Robiliśmy z nimi wywiady, dopytywaliśmy się o przedwojenną działalność Związku Polaków, który był tam bardzo dobrze zorganizowany. Staraliśmy się pomagać tym ludziom także potem, po obozie. Taka była wtedy myśl, że może coś się uda uratować, ale nic się nie udało, wszyscy oni wyjechali do Niemiec. Straceni byli dla Polski wskutek działalności komunistów - odwieczni mieszkańcy Mazur". Akcja Warmia i Mazury znalazła się na łamach Życia Warszawy z sierpnia 1958 dzięki dwóm artykułom Joanny Horodeckiej pt: „HALMS nr 2 - Warmia i Mazury” i „HALMS nr 2 - Warmia i Mazury - Śladem wygasłych ognisk”.

W oficjalnych statystykach z lat 50. struktura narodowościowa nie była ujmowana, ale bez wątplenia większość społeczeństwa stanowili obywatele narodowości polskiej. Odrębność mniejszości była do tego stopnia zamazywana, iż część świadomych przedstawicieli tych narodowości żywiła niechęć do polskości utożsamiając ją z państwowym przymusem. „Nachalna propaganda oraz nieudolność i szykany biurokracji komunistycznej powodowały ogromne straty w świadomości narodowej autochtonów mazurskich i śląskich, wśród których odzywało się przez to czasem poczucie niemieckości”.¹

Nawet zniszczeni represjami dawni bojownicy o polskość Górnego Śląska czy Mazur czasem decydowali się na wyjazd do Niemiec. Np. wśród „Niemców”, którzy opuścili Polskę po 1956 roku, było 230 powstańców śląskich. Z Mazur i Śląska wyjechało ogółem w latach 1956 - 1958 ok. 280 tys. autochtonów, którzy mieli dość nie tylko komunizmu, ale i Polski. Po odwilży październikowej 1956 r. powstało wprawdzie Warmińsko-Mazurskie Towarzystwo Kulturalno-Społeczne, ale władze krzywo patrzyły na jego działalność i w końcu je rozwiązały, zezwalając na wyjazdy autochtonów w ramach akcji „łączenia

¹ Andrzej Albert (Wojciech Roszkowski), Najnowsza historia Polski (1918- 1980), Puls 1991, s. 778

rodzin”. Tak więc akcja Czarnej Jedyńki „Warmia i Mazury” była sprowokowana przez rzeczywistość polityczno-społeczną.

Jedyńka oddziaływała nie tylko na szkołę, lecz także na środowisko. Powstała „Gromada Włóczęgów” - krąg instruktorski skupiający absolwentów szkoły nie zamierzających zrywać kontaktów z drużyną. O „Gromadzie” tak mówi Andrzej Janowski, matura 1953: „Gdy powstała „Gromada”, czułem się osobą zwycięską, bo ja tym nie kierowałem, a to się samo działo. Ja mam taki pogląd, że w wychowaniu to tak naprawdę fajne jest coś, co się toczy, nawet gdy człowiek, który to zainicjował, umrze. Czyli wychowawca pracuje po to, by być niepotrzebnym”.

Był to rok 1967, a więc początek bujnego rozkwitu prasy jedyńskiej (drużyna objęła patronatem pismo redagowane przez uczniów i absolwentów „Za i obok”) i reytaniackiej. Reytaniacy lubili pisać: klasa prof. Modrzejewskiej z lat 1962 - 1966 wydawała gazetkę ścienną „Płaskostopie” (Janusz Kijowski, Tomasz Mizikowski), klasa prof. Włodzimierza Kisielewskiego z lat 1974 - 1977 pismo „Hajd Park”, Piotr Smulczyński w latach 1970 - 1972 redagował pismo „Dwutygodnik Niezależny” (redaktor zmienił nazwisko na Flatau i mieszka w USA), a dla potrzeb redakcyjnych przeprowadzał sondaże na najrozmaitsze tematy wśród uczniów i nauczycieli. Udało mu się także uzyskać zgodę rady pedagogicznej na udział w części posiedzenia tejże, ale ponieważ nagrał tę część na taśmę magnetofonową, to pozwolenie zostało cofnięte. Tenże Piotr Smulczyński w artykule redakcyjnym skierowanym przeciwko wulgarnym odzywkom podparł się autorytetem publicysty „Tygodnika Powszechnego” Ojca Malachiasza (Tadeusz Żychiewicz), co zirytowało dyr. Wojciechowskiego. Wezwał nauczycielkę Piotra prof. Modrzejewską i zażądał, żeby wymogła na uczniu znalezienie świeckiego autorytetu, a kiedy odmówiła, stwierdził, że wobec jej niesubordynacji cenzurę nad pismem przejmie ni mniej ni więcej tylko ktoś z kuratorium. To był oczywiście koniec pisma (1972). „Na tratwie”, „Smutasik”, „Pod wiatr”, kontynuowały linię „Dwutygodnika Niezależnego”,

kaśliwie reagując na wydarzenia szkolne typu wyborów do samorządu uczniowskiego, przy których okazji ujawnił się oportunizm kilkorga nauczycieli. Dyrekcja często zakazywała na jakiś wydawania pism, aż wreszcie przy pomocy zarządzenia kuratora zlikwidowała je na jakiś czas zupełnie. Rok 1968 upłynął Jedyńce na remontowaniu pełnomorskiego jachtu „Zjawa”, po czym odbył się rejs po Adriatyku i „Zjawę” przerobiono na zapalki.

W 1968 roku wymyślono nową koncepcję pracy „Gromady”, jej autorami byli Janusz Kijowski i Antoni Macierewicz „Gromada” miała spełniać trzy funkcje: kręgu starszoharcerskiego, przygotowującego instruktorów dla drużyny i wypracowującego koncepcje jej działania, klubu dyskusyjnego, środowiska skupiającego młodzież opuszczającą drużynę.

W 1969 roku rozpoczęły się spotkania „Gromady”. Każdy Włóczęga mógł wprowadzić jeszcze jedną osobę, zapraszano też niektórych nauczycieli. Aktywnymi członkami „Gromady” byli w tym okresie: Jerzy „Kij” Kijowski (fizyk, starszy brat Janusza), Andrzej Celiński, Michał „Kuszelas” Kulesza, prawnik, autor projektu reformy samorządowej, Piotr Naimski, biochemik, członek KOR-u, Wojciech Onyszkiewicz, historyk, członek KOR-u. Rolę moderującą odgrywał przez cały czas istnienia „Gromady” Andrzej Janowski. Tematyka spotkań obejmowała problemy społeczne i polityczne nurtujące młodzież i młodą inteligencję w końcu lat 60. oraz różne zagadnienia z dziedziny socjologii, psychologii czy literatury. W najlepszym swoim okresie „Gromada” liczyła ok. 150 osób, była jedynym poza KIK-em miejscem swobodnej wymiany myśli. Najaktywniejsi wtedy, tzn. w latach 70. to Marek Barański (historyk), Ludwik Dorn (socjolog), Urszula Doroszevska (socjolog), Wojciech Fałkowski (historyk, w latach 1975-1977 nauczyciel u Reytana), Dariusz Kupiecki (informatyk, redaktor „Robotnika”), Krzysztof Łączyński (filolog).

Oto tematy niektórych spotkań: *Co robić nad Wisłą?* (Jan Strzelecki), *System oświaty w Polsce i jego nowa reforma* (Anna Radziwiłł i Ireneusz Gugulski),

Inteligencja między nijakością a pragmatyzmem (Tadeusz Mazowiecki), *Współczesny neokonserwatyzm* (Marcin Król), *Formy aktywności młodzieży* (Aleksander Kamiński), ale też *Młoda poezja: jej charakter, kierunki rozwoju, aspiracje, przedstawiciele* (Zbigniew Jaskuła), *Psychoterapia i jej znaczenie społeczne* (Jacek Jakubowski), *Ruch walterowski w ZHP* (Seweryn Blumsztajn).

Mówi Marek Barański, matura 1960: „Spotkania „Gromady” odbywały się nieregularnie, na ogół gdzieś poza Warszawą. Ja byłem tylko na kilku takich spotkaniach. Dokładnie pamiętam jedno, to było w roku 1971 chyba w Zalesiu, gdy tematem była struktura klasowa Polski Ludowej. Wtedy właśnie wkroczyła milicja. Przesłuchania odbywały się na miejscu i jeszcze przez cały tydzień w Pałacu Mostowskich”.

Wspomina Antoni Macierewicz, matura 1967, wprawdzie nie absolwent Reytana, ale członek Jedyńki i „Gromady”, historyk i poseł na sejm: „Według mojej pamięci, być może ułomnej, powstanie „Gromady” dokonało się w trójkącie listownym między mną, Jankiem Kijowskim i Wojtkiem Onyszkiewiczem. (...) Dojrzeliliśmy już w tym czasie, po 1968 roku do tego, aby poszukiwać bardziej zaangażowanych form aktywności politycznej, niepodległościowej niż tylko tradycyjnie rozumiane harcerstwo, ale przede wszystkim chodziło o to, aby kadrę, która wychodzi ze szkoły, ludzi, którzy kończą szkołę i siłą rzeczy tracą kontakt bezpośrednio z drużyną, związać w trwałą zespół polityczno-wychowawczy. Taka była intencja i żeby byli to ludzie dobrzy nie tylko w metodyce gier harcerskich, ale także w przygotowaniu społeczno politycznym co do bieżącej rzeczywistości, by mogli w takim kierunku wychowywać młodzież. To był krąg starszoharcerski, który stał się klubem polityczno-dyskusyjnym. Ta idea była szersza, ona była związana także z tym, żebyśmy dążyli do utrzymania więzów środowiskowo-przyjacielskich. Chcieliśmy znaleźć takie narzędzie instytucjonalne, które pozwalałoby łączyć nam nasze obowiązki towarzyskie z pracą polityczno-wychowawczą i z pracą na rzecz drużyny. Stąd dwa założenia strukturalne, które towarzyszyły temu:

spotkanie „Gromady” ma trwać przynajmniej dwa dni, gdzieś poza miastem i że każdy członek ma prawo przyprowadzić kogoś z zewnątrz. Chodziło o to, by nie zamykać tego środowiska, by było maksymalnie otwarte, żeby był kontakt z rzeczywistością pozajedynkową. W tym samym czasie przyjęliśmy pewien program ekspansji samej Jedyнки, która zaczęła zakładać bratnie drużyny: tak powstała między innymi 70. w liceum Konopnickiej, a także innych kilka drużyn w Warszawie. Chcieliśmy powielić model Jedyнки. Mieliśmy bardzo ambitne plany, chcieliśmy modelem Jedyнки objąć całą Warszawę, a potem strategiczne punkty w kraju, nie mieliśmy kompleksów, ten zespół nie miał kompleksów. Każde spotkanie było przygotowane zgodnie z założonym wcześniej planem. Przyprawadzana była osoba spoza „Gromady”, która miała nam pewien fragment rzeczywistości państwowej, ideowej, politycznej, gospodarczej omówić. Wiedzieliśmy, że owej rzeczywistości nie znamy, że jest ona przed nami ukrywana, a chcieliśmy przygotować się do działań na rzecz niepodległości własnego kraju. Wiedzieliśmy, że musimy dowiedzieć się, jak wyglądają trendy polityczne. Zaprosiliśmy Mazowieckiego, żeby nam opowiedział, jak wygląda geografia polityczna współczesna. Słyszeliśmy o nim, że jest posłem opozycyjnym, katolickim posłem opozycyjnym, w związku z tym niech on nam opowie, jak katolicy posłowie opozycyjni widzą swoje miejsce, jak widzą system polityczny i jaką widzą perspektywę rozwoju kraju. Pamiętam, że spór był niesłychanie zażarty i to wtedy Mazowiecki postawił taką tezę, że takim maksymalnym zakresem rewolucji w Polsce, jaki on sobie wyobraża, to jest taka sytuacja jak w Meksyku ówczesnym. To wywołało duży ferment wśród nas, a Mazowiecki uważał, że ta różnica jest różnicą wieku i temperamentu, a nie poglądów. (...) „Gromada” istniała do 1976 roku, została zniszczona wraz ze zniszczeniem Jedyнки i kiedy „Gromada” się zaangażowała w organizowanie pomocy robotnikom po Czerwcu”.

Wspomina Janusz Kijowski, matura 1966, dziś reżyser filmowy i teatralny: „My, z Jedyнки związani byliśmy z tradycją niepodległościowo-postakowską.

Taki wzorce były pielęgnowane w Jedyńce, ale też i w Reytanie. Ważnym wydarzeniem już po moim wyjściu ze szkoły było to, że myśmy, czując się związani z tym środowiskiem i ze szkołą, i z Jedyńką, założyli taki starszoharcerski krąg „Włóczągów”, czyli instruktorski krąg, ale tak naprawdę to był nasz klub dyskusyjny, taki trochę klub Krzywego Koła. Prowadziliśmy zażarte dysputy ideowe, ale też i literackie, i zapraszaliśmy ludzi. To była nasza szkółka opozycji. Dobra symbioza między szkołą a Jedyńką miała ogromny wpływ na drużynę. Ta Jedyńka, która zdecydowanie wymykała się regulaminom ówczesnych władz harcerskich, była tolerowana przez dyrektora szkoły i on rozciągał nad nami taki swój ochronny parasol. Dyrektorem był Wojciechowski, czyli Sołtys, jeden z niewielu w Warszawie dyrektorów liceów, którzy nie byli w PZPR, zdaje się, że miał partyjną legitymację ZSL, dlatego miał taką ksywkę. Na pewno jednak nie był działaczem partyjnym, był człowiekiem niezwykle uczciwym i człowiekiem, który dalekosiężnie myślał o nas. Wiedział, że tym naszym rozpalonym głowom coś trzeba zaoferować, taką niszę wolności, wolności mówienia i działania. Tym bardziej, że widział, że ta swoboda, którą nam daje, nie idzie na boki, to znaczy nie skupia się na picciu wódki czy paleniu papierosów, tylko że idzie w dobrym kierunku, takim autodydaktycznym. Widział też, że Jedyńka pomaga mu w prowadzeniu szkoły. Wtedy, w latach sześćdziesiątych Jedyńka była grupą awangardową, gdzie snobizmem było do niej należeć, wtedy tak to czuliśmy. Trochę tak było, że do tej drużyny harcerskiej należeli najlepsi, którzy sobie na to zasłużyli. Z dumą mówiło się o tym, że ktoś do Jedyńki należy. Wojciechowski nas tolerował i miał z tego powodu mnóstwo nieprzyjemności. Często wzywany do komitetów dzielnicowych czy wojewódzkich, musiał się tam gęsto tłumaczyć, ale zawsze my wychodziliśmy obronną ręką. Nawet jak były jakieś kontrole czy inspekcje, to się okazywało, że my nic złego nie robimy, po prostu uczymy się jakiejś samarytanki, topografii, robimy sobie prycze na obozach, machamy siekierką, śpiewamy piosenki i prowadzimy letnie przedszkola dla wiejskich dzieci. To

wszystko było godne pochwały, a to, że przy okazji przy ognisku toczyliśmy wolne dyskusje na interesujące nas tematy historyczne czy polityczne, to tego już nikt nie musiał słuchać”.

Ze słów członków Czarnej Jedyńki wynika, że nie tylko próbowała ona działać „jak przed wojną”, ale że jej się to udawało. W wypowiedziach powtarza się motyw parasola ochronnego, który roztaczał nad drużyną dyr. Stanisław Wojciechowski. Harcerze świadomie przeciwdziałali atomizacji społeczeństwa, oddziaływali na szkołę i środowisko, a bez przyzwolenia i pomocy dyrektora nie byłoby to możliwe. Tematyka spotkań kręgu starszoharcerskiego „Gromady”, który był i klubem dyskusyjnym, i przygotowywał kadry instruktorów dla drużyny, nawiązywała do etosu akowskiego w dziedzinie pracy dla kraju, a nie walki, (poza Antonim Macierewiczem nikt o działaniach na rzecz niepodległości nie wspominał). Obozy harcerskie podejmowały ważne, czasem polityczne zadania, jak wspomniana akcja Warmia i Mazury z 1958 roku. Fakt, że kilku członków Komitetu Obrony Robotników to byli instruktorzy Czarnej Jedyńki (Piotr Naimski, Andrzej Celiński, Wojciech Onyszkiewicz, Antoni Macierewicz) świadczy o tym, jak ważną rolę społeczną odegrała „Gromada”.

ROZDZIAŁ VI

Szkoła wobec wydarzeń historycznych i polityki oświatowej PRL

Polityka oświatowa po roku 1944, czyli gdy Polska w wyniku konferencji aliantów w Teheranie (XI-XII 1943), a potem w Jałcie (II 1945) została ubezwłasnowolniona i oddana pod kontrolę Związku Radzieckiego, miała charakter represyjny i służyła komunistycznemu totalitaryzmowi wprowadzonemu przez ZSRR jako „narzędzie i środek realizacji utopijnej wizji człowieka i świata, legitymującej rewolucyjne przejęcie władzy i terror związany z jej utrwalaniem i umacnianiem”.¹ Najpierw nastąpiła sowietyzacja strukturalna (przejęcie władzy), a potem sowietyzacja ideologiczna zwana „ofensywą ideologiczną”, środkiem i podstawowym narzędziem odmiana języka zwana nowomową. Szkoła - jako instytucja powszechnego i obowiązkowego kształcenia obywateli - została włączona w realizację interesów państwa. Scentralizowanie, etatyzacja i biurokratyzacja systemu oświatowego służyła uniformizacji działalności edukacyjnej (kontrola i sterowanie poszczególnymi agendami), unifikacji skutków edukacyjnych - czyli uzyskiwaniu

¹ T. Hejnicka-Bezwińska, Zarys historii wychowania (1944-1989) (oświata i pedagogika pomiędzy dwoma kryzysami) cz.IV Kielce s.87

„światopoglądu naukowego”, „jedności moralno-politycznej narodu”, „jednolitego frontu wychowania” itp. oraz indoktrynacji - czyli narzucaniu całemu społeczeństwu standardów życia, idei, wartości, interpretacji, aspiracji, ocen itp.

„Skutki i efekty długotrwałego istnienia scentralizowanego systemu oświatowego to m.in.:

- kształtowanie jednostek o mentalności biernej oraz mentalności obronnej;
- atomizacja życia społecznego i zjawiska „próżni społecznej”;
- ucieczka w prywatność i „amoralny familiaryzm”;
- anomia ;
- pogłębianie nierówności społecznych.”¹

Pewną strategią radzenia sobie z patologią instytucji oświatowych stają się indywidualne strategie edukacyjne, wykorzystujące luki systemu. VI Liceum Ogólnokształcące im. T. Reytana taką właśnie strategię przyjęło i obroniło się - przynajmniej w dużym stopniu - przed uniformizacją i unifikacją.

Pierwsze wydarzenie, które stało się głośne w Warszawie, a pociągnęło za sobą przykre konsekwencje, nastąpiło podczas Marca 1968 roku. Na zebraniu nauczycieli mokotowskich głosowano rezolucję potępiającą Związek Literatów Polskich za obronę „Dziadów” Adama Mickiewicza w inscenizacji Kazimierza Dejmka. Obecny na tym zebraniu polonista z Reytana - prof. Ireneusz Gugulski - wstrzymał się od głosu (Takich wstrzymujących się było czworo, poza nim : Irena Knothe, Teresa Wiśniewsk, Eleonora Lipczyńska). Wszyscy inni głosowali za rezolucją. W związku z tym „nieposłuszeństwem” prof. Gugulski został na następny rok szkolny 1968/69 przeniesiony karnie do Szk. Podst. nr 261 w Wilanowie. Nie podjął tam pracy, zajął się swoim zdrowiem - poddał się dawno odkładanej operacji, a we wrześniu 1969 roku wrócił do Reytana.

¹ T. Hejnicka-Bezwińska, Zarys historii wychowania (1944-1989) (oświata i pedagogika pomiędzy dwoma kryzysami) cz.IV Kielce, s. 94

Ten akt osobistej odwagi prof. Gugulskiego jest moim zdaniem początkiem opozycyjności szkoły, demonstrowanej poza murami, na zewnątrz. Od tej pory stało się też wiadome, że władze szkolne będą twardo egzekwować posłuszeństwo przede wszystkim od nauczycieli. Wydarzenia marcowe, a więc ferment wśród inteligencji, broniącej prawa do wystawiania „Dziadów”, arcydramatu Adama Mickiewicza, decyzję o zdjęciu ich ze sceny i system panujący w PRL Stefan Kisielewski, pisarz i kompozytor, nazwał „dyktaturą ciemniaków”, późniejsze relegowanie z uczelni protestujących studentów, brutalne rozpędzenie wiecu na UW w tej sprawie 8 III 1969 oraz antysemickie nagonki, w wyniku których wielu Polaków pochodzenia żydowskiego opuściło Polskę, dały polskiemu społeczeństwu, a przede wszystkim młodzieży praktyczną lekcję „socjalizmu” w PRL, który zupełnie nie miał „ludzkiej twarzy”. Bitwa o tę „ludzką twarz socjalizmu” została przegrana ale nie zakończona, walka z bezprawiem komunistycznym niedługo miała się zacząć na nowo.

W 1975 roku perspektywa pogarszającej się sytuacji gospodarczej pchnęła władzę do ofensywy ideologicznej. Ukoronowaniem tej ofensywy stało się przyspieszenie prac nad zmianą konstytucji. Art. 1 konstytucji zmieniono stwierdzeniem, że PRL jest „państwem socjalistycznym”, dodano art.3 w brzmieniu: „przewodnią siłą polityczną społeczeństwa w budowie socjalizmu jest PZPR”. PRL miał też umacniać „nierozzerwalne” więzy przyjaźni z ZSRR. Przeciwno tym projektom zmian zaprotestowało wielu intelektualistów („List 59”), przedstawiciele polskiego życia kulturalnego, w ogóle inteligencja. List taki podpisał także prof. Ireneusz Gugulski.

Narastające trudności gospodarcze wywołały próbę podwyżki cen żywności - 24 czerwca 1976 roku, nazajutrz w całym kraju miały miejsce strajki, a w Ursusie, Radomiu i Płocku doszło do wystąpień ulicznych, zablokowania linii kolejowych. W konsekwencji tych wystąpień milicja użyła petard, gazów łzawiących, pałek, aresztowała kilkaset osób, wobec których zastosowano nie

tylko areszt, lecz także „ścieżki zdrowia”, a potem stawiano ich przed sądem i skazywano na kary więzienia do lat 10 w Radomiu i do 5 lat w Ursusie. Była to brutalna parodia wymiaru sprawiedliwości”.¹

Jesienią (23 IX) 1976 roku w Warszawie powstaje Komitet Obrony Robotników. Przygotowani przez Czarną Jędrkę i spotkania „Gromady” biorą w nim udział instruktorzy harcerscy: Piotr Naimski, Wojciech Onyszkiewicz, Andrzej Celiński. Na reakcję władz nie trzeba było długo czekać: 12 XII 1976 na zebranie Gromady weszła milicja (nie po raz pierwszy), wylegitymowała wszystkich, przeprowadziła rewizję. Skutkiem tego „za postępowanie niezgodne ze statutem” usunięto z ZHP pdhm. Marka Barańskiego i Wojciecha Onyszkiewicza. W styczniu 1977 roku na ręce marszałka sejmu PRL złożono list, podpisany przez sto kilkadziesiąt osób, w którym domagano się powołania nadzwyczajnej komisji sejmowej dla zbadania wydarzeń Czerwca’ 76 w Radomiu i Ursusie, publicznego ujawnienia przypadków łamania prawa i ukarania winnych. List podpisało sześciu nauczycieli Reytana: Ireneusz Gugulski, Anna Modrzejewska, Anna Sosin, oraz emerytowane Maria Kikolska, Ewa Maria Ostrowska, Stefania Światłowska. W lutym tego roku troje pierwszych dostało służbowe przeniesienia do innych szkół warszawskich. Na nadzwyczajnym zebraniu rady pedagogicznej ówczesny kurator przypieczętował swoją decyzję słowami: Tak, będziemy przenosić nawet do przedszkoli. W styczniu młodzież zaprotestowała listem do Edwarda Gierka, który podpisało 159 uczniów i 252 absolwentów. Przepytani przeze mnie absolwenci właściwie nie bardzo potrafili powiedzieć jak ta akcja wyglądała. „Ktoś przyszedł z listem”, „ktoś dał do podpisu w szatni”, „ktoś dał do podpisu na lekcji wychowania fizycznego”, „nie znałem tej dziewczyny/chłopca”, to słowa ówczesnych uczniów „ktoś zadzwonił, że list jest w czytelni seminaryjnej do podpisu”, „ktoś powiedział, że jest u X-a w domu” to słowa ówczesnych absolwentów. Nie udało mi się natrafić na kogoś, kto ten list redagował.

¹ Andrzej Albert (Wojciech Roszkowski), Najnowsza historia Polski 1918-1980, Puls 1991, s.1004

Wszyscy zgodnie mówili, że wyglądało to bardzo spontanicznie - nikt, tzn. żadna agenda szkolna tego nie firmowała. Zupełnie tak jakby ciągle obowiązywało milczenie. Niemniej protesty środowiska reytaniackiego przyniosły rezultaty: Annie Modrzejewskiej i Annie Sosin cofnięto przeniesienia do innych szkół, ale Ireneusza Gugulskiego przeniesiono do Liceum im. Kopernika na Woli, motywując to jego wysokimi umiejętnościami zawodowymi. Przeniesienie prof. Gugulskiego do innej szkoły to tylko jedna z kar nałożonych na „niepokorną” szkołę. Zwolniono dotychczasową dyrektorkę mgr Halinę Szczepańską, a na jej miejsce mianowano mgr. Janusza Olszewskiego, dotychczasowego wizytatora - metodyka fizyki, także funkcjonariusza ORMÓ. Ten zaś sprowadził „swoją” wicedyrektorkę mgr Halinę Wiewiórkowską, także fizyczkę, całkowicie dyspozycyjną wobec dyrektora, a on wobec Dzielnicy PZPR i kuratorium. W nowym roku szkolnym 1977/78 utworzono tylko pięć klas pierwszych, a nie jak co roku osiem, i bez profilu humanistycznego. Od początku po II wojnie światowej starano się ograniczyć kształcenie ogólne i promować kształcenie zawodowe, wąskoprofilowe, więc mamy tu do czynienia ze znaną tendencją, ale i z próbą ograniczenia liczebności absolwentów Liceum Reytana, którzy zasilali szeregi opozycji (sygnatariusze listów protestacyjnych, członkowie Gromady, członkowie KOR). Następnym ciosem dla szkoły to nieprzedłużenie umowy na ten rok z historykiem i polonistą prof. Wiesławem Żurawskim, którego wielu uczniów (i nauczycieli) uważało za swojego ojca duchowego. Dyrekcja otrzymała wyraźną instrukcję, aby wskazanym przez władzę nauczycielom maksymalnie utrudnić życie, np. siódmymi lekcjami, podwójnymi „okienkami”, obciążeniami pozalekcyjnymi, np. obecnością na dyskotecie, dyżurami na przerwach, negatywnymi wpisami do Arkusza spostrzeżeń w razie najmniejszej niesubordynacji, a dyrekcja się karnie do tej ustnej instrukcji dostosowała.

Wprowadzono także środki, które miały utrudniać absolwentom kontaktowanie się ze szkołą: przy wejściu do budynku usadzono dyżurnych, których

obowiązkiem było zapisywanie w zeszycie nazwisk przychodzących. Podobno w zeszycie pojawiały się nazwiska członków KOR-u oraz przywódców wrogich i zaprzyjaźnionych mocarstw. Także życie pozalekcyjne zostało ograniczone: na każdą popołudniową imprezę potrzebna była zgoda dyrekcji, a każde ogłoszenie, nawet o znalezieniu lub zgubieniu czegoś, musiało być opatrzone pieczęcią sekretariatu. Nie pozwolono na zorganizowanie wyborów do samorządu uczniowskiego wg. wzoru z lat poprzednich, tj. powszechnych i bezpośrednich, ale poprzez delegatów, co większość uczniów zbojkotowała. Niemniej wśród uczniów i nauczycieli krążyły komunikaty KOR-u i wydawnictwa pozacenzuralne.

W roku szkolnym 1979/80 dyrekcja postanowiła utrudnić życie prof. Annie Modrzejewskiej: miała uzupełniać etat w XLIX Liceum Ogólnokształcącym im. Z. Modzelewskiego (dziś: J.W. Goethe), a w następnym roku odejść całkiem. Przyjęto uczniów do tylko jednej klasy biologiczno-chemicznej, bo Reytan miał zostać cały matematyczno-fizyczny, ale i tak duch reytaniacki nie został pogiębiony. Nie tylko „Czarna Jedyńka”, ale i Koło PTTK „Purszyle” podtrzymywało tradycję, np. przez „doksztalcanie” obywatelskie w czasie wycieczek. W maju 1979 roku odbyła się Pierwsza Jubileuszowa Wystawa Prasy Reytaniackiej w mieszkaniu pp. Engelkingów, bo dyrekcja nie wyraziła zgody, żeby odbyła się w szkole. Organizatorem był Antoni Gugulski, syn Ireneusza, uczeń klasy trzeciej. Wielkim wydarzeniem stała się wizyta Jana Pawła II w Warszawie, choć uczniów na ten czas starano się zamknąć w szkole (na czas powitania). Uczniowie wciągnęli na szkolny maszt biało-żółtą papieską flagę, co tak przeraziło dyrektora, że zaczął ją sam ściągać i złamał maszt. Po trzech latach zmieniono dyrektora. W 1980 roku dyrektorką została mgr Halina Sobierajska, polonistka, dotychczasowa wicedyrektorka szkoły w Legionowie, lektorka Komitetu Miejskiego PZPR.

Był rok szkolny 1980/1981. W końcu września powstało w Reytanie Koło NSZZ „Solidarność”, którego przewodniczącą została prof. Honorata

Kępkiewicz (historyczka), a uczniowie mówili o bezpośrednich wyborach do samorządu uczniowskiego i o zmianie opiekuna samorządu. Wybory odbyły się 3 X 1980, przewodniczącym wybrano Marka Dudkiewicza, powołano komisję do opracowania nowej ordynacji wyborczej i statutu samorządu oraz rozpoczęto przygotowania do kwietniowego Święta Szkoły. Zorganizowano Klub Dyskusyjny, którego opiekunką została prof. Honorata Kępkiewicz. W grudniu Koło NSZZ „Solidarność” skierowało do Wydziału Oświaty i Wychowania pismo z żądaniem przywrócenia do szkoły prof. Anny Modrzejewskiej i prof. Ireneusza Gugulskiego oraz zadośćuczynienia moralnego dla profesorów: Marii Kikolskiej, Ewy Marii Ostrowskiej, Anny Sosin, Stefanii Światłowskiej, Jerzego Gardzińskiego i śp. Wiesława Żurawskiego, ale pozostało ono bez odpowiedzi.

W lutym 1981 roku uczniowie przygotowali ulotkę informacyjną i rozpoczęli zbieranie podpisów pod petycją do kuratora Okręgu Szkolnego miasta stołecznego Warszawy żądając: powrotu do pracy w Reytanie prof. Ireneusza Gugulskiego, Anny Modrzejewskiej i Wojciecha Fałkowskiego, przeproszenia pokrzywdzonych nauczycieli oraz przywrócenia w roku szkolnym 1981/1982 klas humanistycznych. Oryginał petycji z podpisami 341 uczniów złożono w sekretariacie Episkopatu Polski, a kopię w Kuratorium. Także absolwenci podobne pismo złożyli w Ministerstwie Oświaty i Wychowania (252 podpisy). Notatka na ten temat znalazła się w „Wiadomościach Dnia” nr 60 z 17 III 1981. Także w marcu 1981 roku ukazał się artykuł Jacka Żakowskiego w „Tygodniku Solidarność” pt. „Z powodu zmian organizacyjnych” (nr 5), który obszernie napisał o sprawie nauczycieli Reytana. Tego samego dnia Prezydium Zarządu Fabrycznego NSZZ „Solidarność” w Ursusie podjęło uchwałę domagającą się od Ministerstwa Oświaty i Wychowania niezwłocznej rehabilitacji nauczycieli Reytana. Na nadzwyczajnym posiedzeniu rady pedagogicznej z udziałem przedstawicieli Inspektoratu Oświaty 20 marca 1981 podjęto decyzję o przywróceniu profesorów Ireneusza Gugulskiego, Anny Modrzejewskiej i

Stefanii Światłowskiej do pracy w Reytanie w roku szkolnym 1981/82 i powstaniu klasy o profilu humanistycznym.

W kwietniu 1981 roku uczniowie zorganizowali prawie tydzień trwające Święto Szkoły z okazji 75-lecia. Program obchodów był bogaty: dwie sztuki sceniczne, przegląd filmów amatorskich Czarnej Jedyńki, Wystawa Prasy Reytaniackiej, Reytan Show (reż. Janusz Zaorski), wystawa plastyczna, występ tercetu Kaczmarek - Gintrowski - Łapiński, kabaret uczniów Reytana, konkurs Miss Reytana, wydano „Nieregularny Informator Kulturalny” drukujący programy i krótkie recenzje. Oficjalne uroczystości odbyły się 25 kwietnia w sali gimnastycznej, a jednocześnie w holu prowadzono spotkanie Klubu Dyskusyjnego na temat historii szkoły. Uczestniczyli w nim ks. Jerzy Chowańczak (reytaniak i katecheta wielu roczników), Bogdan Deczkowski „Laudański” (żołnierz AK), Anna Modrzejewska, Wojciech Fałkowski oraz Urszula Doroszevska i Konstanty Radziwiłł (absolwenci).

Rozpoczął się rok szkolny 1981/82. Przywróceniu do pracy w Reytanie profesorowie zostali powitani przez przewodniczącego samorządu Marka Dudkiewicza kwiatami i okolicznościową mową. Prof. Anna Modrzejewska dostała wychowawstwo pierwszej klasy humanistycznej, a prof. Gugulski klasy drugiej. O ówczesnych wydarzeniach i o profesorze Gugulskim mówi Katarzyna Górska, matura 1984, dziś producentka filmowa: „Moja klasa II 6 powstała od razu jako klasa druga. Na poziomie klasy pierwszej (to było przed powrotem Gugulskiego do Reytana w osiemdziesiątym roku) to moi koledzy z klasy tej reytaniackiej byli rozrzućeni po różnych klasach, a pod koniec roku podjęto decyzję o utworzeniu jednej dodatkowej klasy i wychowawcą tej klasy został profesor Gugulski. Takie dodatkowe klasy utworzono na wszystkich poziomach, czyli II 6, III 6 i IV 6 i wszystkie te klasy były zbieraniną ludzi z innych klas. Ja się dowiedziałam o stworzeniu tej klasy i o powrocie Gugulskiego jakoś w czasie wakacji w 1981 roku. Wtedy podjęłam taką decyzję, aby się przenieść do Reytana. Na pewno duży wpływ wywarła wiedza, że wychowawcą tej klasy i

polonistą będzie profesor Gugulski. On wywarł na mnie bardzo duży wpływ i na moją klasę też. (...) Wprawdzie mieliśmy z nim lekcje tylko trzy miesiące, ale na pewno jego osobowość wywarła bardzo duże piętno i na klasie, i na moim roczniku. Później, myślę, że przyjaźń z jego rodziną, z nim, która ciągnęła się przez szereg lat, też wywarła bardzo duży wpływ na moje życie”.

W Czarnej Jedyńce dyskutowano przyłączenie się do Niezależnego Ruchu Harcerskiego, 11 listopada wydano jednodniówkę „Korzenie” dla uczczenia 70-lecia drużyny, a uczniowie przeprowadzili zbiórkę żywności, papieru i pieniędzy dla strajkujących uczelni warszawskich. W grudniu odbyły się wybory do samorządu według nowej ordynacji wyborczej. W sobotę 12 grudnia '81 grupka nauczycieli, uczniów i absolwentów poszła na grób prof. Wiesława Żurawskiego na Powązki.

W noc wprowadzenia stanu wojennego internowano prof. Gugulskiego i prof. Kępkiewicz oraz wielu absolwentów i Włóczęgów, a kilkoro innych ukrywało się do X '83. Bohdan Cywiński, Jakub Karpiński, Piotr Naimski, Jakub Świącicki i wielu innych angażowało się w pracę komitetów pomocy dla „Solidarności” za granicą.

Uczniowie błyskawicznie zareagowali na internowanie nauczycieli: odwiedzali ich rodziny, pomagali w dostępny sobie sposób.

Profesor Honoratę Kępkiewicz wspomina Katarzyna Górska, matura 1984: „Osobą, z którą przyjaźń bardzo sobie ceniłam była profesor Kępkiewicz, z którą zaprzyjaźniłam się, zanim zaczęła mnie uczyć. I to było dosyć szczególne spotkanie, ponieważ ja jej nie znałam. Ona została internowana. Moja znajomość z nią zaczęła się w czasie, gdy ona była w internowaniu. Ja zaprzyjaźniłam się z klasą, której ona była wówczas wychowawczynią, to była klasa IV 6 i razem z nimi podejmowałam pewne działania mające na celu zwolnienie zarówno pani profesor Kępkiewicz, jak i Gugulskiego. W momencie, w którym została zwolniona z internowania, to był bodajże lipiec 1982 roku, to pamiętam taką wizytę u niej w domu razem z kilkoma osobami z jej klasy i to

było właściwie takie nasze pierwsze spotkanie. To był początek naszej znajomości, która przerodziła się w bardzo intensywną przyjaźń, która trwała do końca jej życia. Myślę, że znajomość z nią jako osobą wywarła na mnie wielki, wielki wpływ. Szczególnym doświadczeniem było dla mnie towarzyszenie jej w chorobie i w ostatnich miesiącach i dniach jej życia. Moja rodzina też była zaangażowana w pomoc jej”.

Kiedy po wprowadzeniu stanu wojennego okazało się, że szkoły zostały zamknięte, nie tylko nauczyciele szukali ze sobą kontaktu, ale i uczniowie przychodzili do niektórych nauczycieli do domu, żeby sprawdzić, czy nie potrzebują pomocy. Np. pamiętam, że do mojej matki przyszła uczennica, której w ogóle nie uczyła, zaprzyjaźniła się potem z nami, jej dziećmi, i oczywiście z nią samą. Innym razem przyszła niewiasta w średnim wieku, matka uczennicy i zaproponowała, żebyśmy się cała rodzina przenieśli się do chwilowo wolnego mieszkania jej matki, żeby chronić się przed ewentualnym internowaniem, a kiedy mama odmówiła, zażądała, żeby w takim razie oddać jej wydawnictwa bezdebitowe na przechowanie.

Pierwszego dnia po powrocie do szkoły pojawiły się ulotki z apelem do rady pedagogicznej o poręczenie dla internowanych (udało mi się zdobyć jedną taką ulotkę - to maszynowa przebitka z krótkim tekstem), a 8 stycznia zmanifestowano solidarność z więźniami, zachowując milczenie przez całą długą przerwę. Wrażenie było niezwykle: wielki gmach przy ulicy Wiktorskiej, szumiący w czasie przerw jak ul, zapadł w głucho milczenie. Także nauczyciele podporządkowali się i jedynie szeptem wymieniali uwagi. Nikt dziś nie pamięta, czyj to był pomysł, ale po jakimś czasie ta forma protestu przyjęła się w wielu warszawskich liceach. Przerwy milczenia, akcje ulotkowe, noszenie oporników i plaketek z Matką Boską, naklejanie na drzwiach pracowni internowanych profesorów emblematów reytaniackich (TR wpisane w trójkąt) denerwowało dyrekcję, która jednak udawała, że nic się nie stało. Emblematy zrywano, aż wreszcie zostały namalowane czerwoną farbą i nie dało się ich dokładnie

zamalować. Ten lęk dykcji przed brakiem kontroli nad uczniami i nauczycielami nieustannie dochodził do głosu także na posiedzeniach rady pedagogicznej, kiedy nauczyciele próbowali przegłosować poręczenie dla internowanych kolegów. Można by sądzić, że cały Reytan protestował przeciwko stanowi wojennemu i internowaniu ogólnie szanowanych nauczycieli. Nawet członkowie PZPR nie werbalizowali swego poparcia dla partii i rządu, jeśli nie groziło im posądzenie o opozycyjność. Szkoła dostała swojego wojskowego kuratora kpt. Leszczyńskiego, który starał się nie rzucać w oczy uczniom i nauczycielom, ale pojawiali się też cywilni „smutni panowie” chyba z MSW, którzy za zgodą dyrektorki potrafili wywołać nauczyciela z lekcji i straszyć rozwiązaniem szkoły, jeśli na trwałe zapanuje w niej duch oporu. Bo dykcja niezłomnie stała po stronie tych, którzy wprowadzili stan wojenny. Uczniowie prowadzili regularne zbiórki żywności i pieniędzy, także dla odległych wsi, a zabawek dla domów dziecka. Niektórym z nich udawało się dotrzeć do miejsc internowania nauczycieli np. do Darłówka, dostarczyć im przez płot listy i przywieźć wiadomości od nich. Listy pisane były na najcieńszym papierze drobnym pismem, żeby jak najwięcej się zmieściło, a zajęło jak najmniej miejsca. Zdarzały się więc śmieszne incydenty, jak ten: list do profesora Gugulskiego nadawczyni zakończyła na samym dole karteczki- Bogu Cię polecam, więc profesor poszedł do Grzegorza Boguty i mówi: Pani M. coś ci poleca, ale nie mogę się doczytać co. Uczestniczono w Mszach Św. w intencji nauczycieli i ich rodzin. W III '83 roku po mszy tajniacy pobili na ulicy czterech uczniów, którzy rzekomo agresywnie się zachowywali. Jednego z nich wprowadzili do bramy, tam straszili i poszturchiwali, aż chłopak zmoczył spodnie ze strachu. Tym razem nawet dykcja uległa i dołączyła do rady pedagogicznej, która wezwała milicję do szkoły, zażądała ukarania tajniaków i przeprosin dla uczniów, a dla wspomnianego ucznia w szczególności. Wyjątkową stanowczością wykazała się jego wychowawczyni, chemiczka mgr Joanna Skarbkowa. Wobec tak oczywistego nadużycia władzy po długich

rozmowach z milicją, listach do kuratorium, protestach werbalnych udało się odzyskać ich dobre imię i otrzymać wyrazy ubolewania od milicji.

Wielu nauczycieli, tak wierzących, jak i niewierzących spotykało się co tydzień w przykościelnych salach katechetycznych na zebraniach Duszpasterstwa Nauczycieli. Prowadził je o. Jacek Salij. Spotkania te stanowiły okazję do wymiany zdań na aktualne tematy, wymiany informacji o tym, co się dzieje w poszczególnych szkołach, o potrzebujących pomocy, przekazaniu wydawnictw bezdebitowych i in. Wobec dość powszechnego upadku ducha obcowanie z o. Jackiem Salijem, człowiekiem mądrym, serdecznym, inteligentnym działało niezmiernie ożywczo. Młodzież także uczęszczała wtedy tłumnie na religię, najczęściej do ks. Jerzego Chowańczaka lub ks. Jana Sikorskiego, obaj w parafii św. Michała Archanioła na ul. Puławskiej. I tam wśród nich zrodził się pomysł spotkania z prymasem Józefem Glempem. Do spotkania doszło w lutym lub marcu 1982 w siedzibie prymasa na ul. Miodowej. Najliczniejsi byli na tym spotkaniu reytaniacy i ich kilkoro nauczycieli, ale byli też przedstawiciele innych liceów warszawskich, np. Kopernika, Konopnickiej, Modzelewskiego, św. Augustyna (PAX), Zamoyskiego, Dobiszewskiego. Ksiądz prymas był wtedy zdania, że należy podpisywać tzw. lojalki, żeby nie dopuścić do zniszczenia substancji, jak się wyraził. Spotkało się to z niezłomnym, choć może niezbyt grzecznym oporem uczniów i nauczycieli, którzy bez ogródek powiedzieli księdzu prymasowi, że to postawa niegodna, kunktatorska i konformistyczna.

Ważnym wydarzeniem stał się list do maturzystów prof. I. Guglskiego, który przysłał w maju 1982 roku. Jego fragment zacytował Jan Paweł II na audiencji generalnej w listopadzie tego roku na Placu Świętego Piotra w Rzymie.

Na radzie pedagogicznej kończącej rok szkolny 1981/82 ogłoszono, że szkoła nie przedłuży umów o pracę emerytowanym prof. Stefanii Światłowskiej, Czesławie Piotrowskiej, a także dwóm innym osobom. Znowu ucierpiała humanistka i ogólnie rzecz biorąc nauczyciele starej daty, z klasą, niebywale

oddani młodzieży. O prof. Światłowskiej już pisałam, a prof. Piotrowska, chemiczka, miała ogromne osiągnięcia w postaci wielu laureatów olimpiad chemicznych oraz szacunek i popularność wśród młodzieży. Władza uderzyła w tych nauczycieli, którym młodzież ufała, na których mogła się oprzeć, na których mogła liczyć.

W lipcu zwolniono z internowania profesor Honoratę Kępkiewicz i profesora Ireneusza Gugulskiego, we wrześniu mieli wrócić do pracy, tymczasem 30 sierpnia '82 wręczono im zawieszenia w pełnieniu obowiązków nauczycielskich pod zarzutem naruszenia artykułu Karty Nauczyciela, który stanowił: „Nauczyciel powinien kształcić i wychowywać młodzież w umiłowaniu Ojczyzny, w poszanowaniu Konstytucji PRL jako państwa socjalistycznego”. Tego dnia rada pedagogiczna uchwaliła większością głosów wniosek o uchylenie bezprawnej decyzji, a od września uczniowie i absolwenci zbierali podpisy pod listem do kuratorium i Ministerstwa Oświaty i Wychowania w podobnym duchu.

Wspomina Katarzyna Górka, matura 1984: „Po zwolnieniu Gugulskiego z internowania myśmy chodzili całą klasą, ja byłam zaangażowana w zorganizowanie tego, na takie korepetycje do niego. Miało to wiele pozytywnych aspektów dla obu stron. Z naszego punktu widzenia, ponieważ przez czas jego internowania ci poloniści nam się zmieniali - co kilka tygodni ktoś inny przychodził do nas na lekcję, w kółko były jakieś zastępstwa. Ta druga klasa, która jest znaczącą klasą, jeśli chodzi o język polski, bo to jest okres romantyzmu, to myśmy mieli wrażenie, że to był stracony dla nas rok i właściwie nikt nas nie przygotował dobrze z tego romantyzmu. Te lekcje były dla nas bardzo ważne. Myśmy przychodzili do niego do domu, podobnie zresztą przychodziły dwie wyższe klasy, czyli klasa III 6 i jeszcze jakaś klasa, której nie pamiętam. Nie przychodziła tam cała klasa ale myślę, że większość, myślę, że koło piętnastu, dwudziestu osób. Myśmy się tam rozsiadali w tym niezbyt wielkim mieszkaniu przy Sobieskiego. Myślę, że te lekcje miały wpływ, czy też

pozytywnie odbijały się na Gugulskim, który miał wtedy w jakimś sensie zakaz wykonywania zawodu, był zawieszony w czynnościach nauczyciela i to była dla niego jedyna forma kontaktu z młodzieżą. To miało dla niego szczególne znaczenie - i ta kara, że został odsunięty od wykonywania zawodu, więc wszelkie możliwości kontaktu z młodzieżą były dla niego szczególnie ważne. Myślę też, że te lekcje miały też za zadanie go czymś zająć. To był taki okres zintensyfikowania się jego depresji, on na pewno w tym czasie pił, dużo. Pamiętam kilka razy taką sytuację, gdzie ja wchodziłam pierwsza, trzymałam resztę mojej klasy na dole i szłam na górę, żeby sprawdzić, w jakiej on jest kondycji. Kilka razy się zdarzyło, że on po prostu był pijany. W związku z tym, ja chcąc ukryć i ukrywając ten fakt przed resztą mojej klasy, schodziłam na dół i mówiłam, że go nie ma, albo że lekcja jest odwołana, albo wynajdywałam inne sposoby, aby oni się nie zorientowali o co chodzi i myślę, że się nie zorientowali przez długi czas” .

O swoim zaangażowaniu w życie szkoły z lat stanu wojennego opowiada Katarzyna Górską, matura 1984 tak komentując powyżej przedstawione wydarzenia: „Ja w jakimś stopniu zaangażowałam się w momencie wprowadzenia stanu wojennego, internowania pana Gugulskiego i Honoraty Kępkiewicz, to się zaangażowałam z paroma osobami starszymi ode mnie, w jakiejś współpracy z pewną częścią grona nauczycielskiego, zaangażowaliśmy się najpierw w całą akcję protestacyjną, potem w akcję mającą na celu zwolnienie tych osób internowanych. Następnie w przywrócenie im prawa do wykonywania zawodu, jako że zostali zawieszani w czynnościach nauczycielskich, a potem w przywrócenie ich do szkoły, ponieważ na przykład Gugulskiego skierowano do pracy do liceum Kołłątaja. To są takie cztery działania podstawowe, które pamiętam. W momencie kiedy ja chodziłam do szkoły, to był to czas wprowadzenia stanu wojennego, potem jego trwania, potem zawieszenia, więc tutaj wspomnieniem są rozliczne akcje protestacyjne. Wydaje mi się, że pierwsza przerwa milczenia to była u nas w szkole. Teraz nie

pamiętam właściwie, jaki był jej powód. Jestem jednak przekonana, że ten pomysł przerwy milczenia narodził się u nas w szkole i to była zupełnie jakaś niesamowita sprawa. Zobaczyć kilkuset uczniów, którzy chodzą po korytarzu w czasie długiej przerwy, która trwała dwadzieścia minut, w zupełnym milczeniu. Cisza w szkole, jak wiadomo, panuje tylko w czasie lekcji. Natomiast wyobrazić sobie kilkaset osób, które chodzą po korytarzu, szurając kapciami, czy tenisówkami i wykonują wszelkie normalne czynności w milczeniu - to robiło ogromne wrażenie i czuło się potęgę jedności. Nawet tym, co może nie mieli ochoty uczestniczyć w naszej akcji, jakby nie wypadało nie solidaryzować się z nami. To rzeczywiście była paraliżująca moc tego zjawiska. Później przerwa milczenia została przeniesiona, przeszczepiona do innych szkół też, stało się to popularną formą protestu. Wspominam to jako zupełnie niebywałe zjawisko, unikalne. Oczywiście różnych takich akcji było więcej. Ja pamiętam też takie bardzo osobiste podchody, drobne walki i wojnę podjazdową z ówczesną dyrekcją, między innymi z panią Gontarewicz. Pamiętam jakąś przedziwną akcję, która osnuła się wokół, na owe czasy kultowego znaku, TR w trójkącie. Moi starsi koledzy wyrznęli na skórzanych drzwiach, na skórzanym obiciu drzwi do gabinetu pani dyrektor ten właśnie trójkąt. Dziś postrzegam to jako akt wandalizmu, wtedy wydawało mi się, że to jest manifestacja polityczna. Ktoś został złapany, ktoś został postawiony w stan oskarżenia, o mały włos sprawa skończyłaby się relegowaniem ze szkoły. Ja też byłam w to zamieszana. Część grona pedagogicznego musiała nas ratować. Dziś trochę się tego wstydzę, wtedy widziałam w tym akt odwagi, dzisiaj raczej wandalizmu. Potężną akcją, w której ja współuczestniczyłam, było nie tylko organizowanie jakichś form protestu, ale także pisanie co kilka miesięcy listów i petycji, które myśmy zgłaszali w różnych miejscach, między innymi do Prymasa. Byliśmy raz czy dwa u niego na takich audiencjach. Zgłaszaliśmy też te petycje i protesty do kuratorium. To wymagało sporego nakładu czasu. Był to dla mnie czas istotny i ja z największą przyjemnością angażowałam się we wszystkie takie sprawy i

one pochłaniały bardzo dużo czasu, kto wie czy nie więcej niż sama nauka. To był taki czas, który kultywował we mnie takie poczucie obywatelskie, poczucie pewnej uczciwości, praworządności, która była notorycznie zakłócana. Dla mnie wtedy było zupełnie jasnym, że jeśli owa praworządność jest zakłócana, to trzeba się ubiegać o to, by była przywracana. Takich listów to myśmy napisali kilkanaście. Mniej więcej raz w miesiącu, raz na dwa miesiące dostawaliśmy odpowiedź bądź z kuratorium, bądź z innego wyższego urzędu. Wtedy zbieraliśmy się, my uczniowie, czasem z nauczycielami, kilkoma osobami z grona pedagogicznego, redagowaliśmy kolejny list, do kolejnej instancji i w ten sposób płynęły tygodnie i miesiące od stanu wojennego do 1984 roku, do momentu kiedy zdawałam maturę. Największe nasilenie tego przypadku na rok 1982 i 1983 i tutaj takich akcji było bardzo dużo. Wszystkie konflikty w szkole w moim mniemaniu, osoby zaangażowanej w opozycję, obracały się wokół podziału politycznego, wokół spraw politycznych (...). Pamiętam, że działania samorządu szły równoległe z naszymi działaniami protestacyjnymi, zabiegającymi o przywrócenie Gugulskiego i pani profesor Kępkiewicz”.

Jednocześnie władze szkolne różnymi sposobami próbowały spacyfikować niepokorną szkołę, np. od nowego roku pojawiło się kilkoro nowych a partyjnych nauczycieli, z których najgorszą sławę zyskała wicedyrektorka mgr Anna Gontarewicz, ponieważ usiłowała przesłuchiwać uczniów i werbować donosicieli. Niemniej odbyły się wybory do samorządu, choć programy wyborcze ocenzurowała wicedyrektorka, usuwając z nich np. współpracę z absolwentami i harcerstwem. Inicjatywy z 1980 i 1981 roku zostały podjęte na nowo, ale wobec torpedowania ich przez dyrekcję nie w pełni je zrealizowano. Tak więc nie udało się Święto Szkoły, ponieważ dyrekcja nie zgodziła się na zaproszenie Przemysława Gintrowskiego, Jana Walca i Piotra Wierzbickiego, więc zaproszeni absolwenci - aktorzy (Adam Ferency, Jacek Sas Uchynowski, Mirosław Konarowski) w akcie solidarności odmówili udziału w oficjalnym spotkaniu.

W lutym 1983 roku zwieszono w prawach instruktorskich harcerza orlego Antoniego Gugulskiego i rozwiązano drużynę męską „Jedność”. Po zimowisku powstała męska drużyna „Bez nazwy” oraz reaktywowane „Sobole” i „Kubus Puchatek”.

Kiedy odbywał się pogrzeb Grzegorza Przemyska 19 V 1983 roku, dyrekcja nie zgodziła się na udział sztandaru szkoły, ale młodzież licznie przybyła na Powązki. Wobec tego sprawdzono w dziennikach, kto tego dnia zwałniał się z lekcji. Żadnych konsekwencji, z faktu nieobecności w tym czasie w szkole, wobec uczniów nie wyciągnięto.

W czerwcu 1983 roku Ojciec Świąty odbył drugą pielgrzymkę do ojczyzny, reytaniacy witali go transparentem „REYTAN” i wielu z nich towarzyszyło mu w całej pielgrzymce. Także w czerwcu stanął przed Komisją Dyscyplinarną prof. Ireneusz Gugulski i choć otrzymał najniższą możliwą karę- naganę z wpisaniem do akt, która nie pociągała za sobą żadnych innych skutków, przeniesiono go do XXI LO im. Hugona Kołłątaja w Warszawie, motywując podjętą decyzję koniecznością podniesienia poziomu nauczania w tej szkole. Natomiast prof. Honorata Kępkiewicz wróciła w roku szkolnym 1983/84 do Reytana, ale ciężko chora i nieleczona podczas internowania, choć znajdowała się na liście MCK do zwolnienia z powodu choroby, zmarła 29 kwietnia 1984 roku. Bez wątplenia była ofiarą stanu wojennego. Mimo licznych akcji podejmowanych przez młodzież władze szkolne nie zgodziły się na obecność sztandaru szkoły w kościele - poczet sztandarowy oczekiwał na kondukt na cmentarzu we Włochach.

W październiku 1983 roku Lech Wałęsa dostał Pokojową Nagrodę Nobla, więc członkowie Uczniowskiej Rady Szkolnej wysłali do niego depezę z wierszowanymi gratulacjami. Dyrekcja wykorzystwała to jako pretekst do zwolnienia ze stanowiska opiekunki samorządu prof. Danuty Kościeleckiej i mianowania innego nauczyciela, byłego członka PZPR, byłego wicedyrektora oraz aktywnego członka wroniego ZNP. Na pożegnanie prof. Kościeleckiej

młodzież urządziła „bankiet” w prywatnym mieszkaniu uczennicy Katarzyny Górskiej oraz na znak protestu rozwiązała samorząd.

Jedynym forum wolnego głosu uczniów stał się parlament szkolny (parlament tworzyli przedstawiciele klas: przewodniczący i jego zastępca), który wprawdzie zaakceptował wybranego przez dyrekcję opiekuna samorządu, ale nie zaakceptował metody sprawowania opieki. Po wielu sporach ostatecznie zatwierdzono ordynację wyborczą do samorządu i w kwietniu 1984 roku wybory wygrał Szymon Grzelak, a opiekunem samorządu został prof. Edward Orzechowski.

Rok szkolny 1984/85 rozpoczęto bardzo udaną wycieczką parlamentu, w której uczestniczyło 20 osób, bo dyrekcja nie zezwoliła na wyjazd uczniom, którzy nie byli gospodarzami klasy w obawie przed wpływem absolwentów i uczniów starszych klas.

Koniec października 1984 roku to porwanie i męczeńska śmierć ks. J. Popiełuszki i jego pogrzeb, w którym udział wzięli uczniowie i nauczyciele Reytana. Na ogrodzeniu kościoła św. St. Kostki zawisł transparent ze słowami: „Jestem przy Tobie, pamiętam, czuwam...VI LO Reytan”. W listopadzie Uczniowska Rada Szkolna zapoczątkowała zwyczaj składania 1 listopada kwiatów na grobach nauczycieli szkoły, na Grobie Nieznanego Żołnierza, Grzegorza Przemyka i ks. Jerzego Popiełuszki. Także tej jesieni dyrekcja zabrała Czarnej Jedynce harcówkę, dając w zamian bardzo małe pomieszczenie. Protesty harcerzy, rodziców, petycje nie dały rezultatu. W ogóle dyrekcja często świadomie niszczyła dorobek uczniów. Tak było z kawiarenką uczniowskiej rady szkolnej czy z dekoracją „Dziki Zachód” wykonaną na Święto Szkoły.

W końcu czerwca 1986 roku dyr. Sobierajska przeszła na emeryturę, wobec czego rada pedagogiczna wysunęła swojego kandydata na dyrektora, który uzyskał 35 głosów „za” przy 5 wstrzymujących się. Przegłosowany wniosek został zlekceważony przez inspektora oświaty, który mianował mgr. Marka Drozdowskiego (matematyk, wicedyrektor w Zamojskim). Zgodnie z Kartą

Nauczyciela nowy dyrektor powinien uzyskać pozytywną opinię rady pedagogicznej, ale ustawa sejmowa została pogwałcona. Wicedyrektorką zaś została działaczka partyjna Jolitta Stępnia, nauczycielka rosyjskiego.

Tak oto wspomina ją jeden z wcześniejszych uczniów Sławomir Mazurek, matura 1979: „Ponieważ jestem takim humanistą, który zajmuje się Rosją, nie mogę pominąć osoby mojej wychowawczynie pani Jolitty Stępnia. Relacja między mną a nią była bardzo skomplikowana. Ja z rosyjskiego miałem zawsze bardzo słabe stopnie, a i ideologicznie była przepaść między mną a panią profesor Stępnia, bo ona była osobą mocno lewicującą. Teraz gdy ją wspominam, to nie jest dla mnie postać złowroga, nie sądzę, by była zdolna do jakiś wielkich świństw. Gdy wybrałem rosyjski na maturze, ona stwierdziła, że ja to zrobiłem z przekory”.

Na forum rady pedagogicznej wielokrotnie powracała sprawa powrotu prof. Ireneusza Gugulskiego. Drugim tematem elektryzującym środowisko reytaniackie była Uczniowska Rada Szkolna, której działanie dyrekcja starała się neutralizować. Już od przełomu lat 70. i 80. Uczniowska Rada Szkolna zaczęła odgrywać w Reytanie coraz większą rolę. Czy dlatego, że wskutek działań władz oświatowych i partyjnych osłabła Czarna Jedyńka, czy może dlatego, że młodzież niezrzeszona też potrzebowała swego forum. Władze oświatowe nie godziły się na samodzielność młodzieży, toteż odbyło się wiele rad pedagogicznych i zebrań młodzieży, na których dyskutowano i zwykle odrzucano pomysły władz szkolnych. Trzecim tematem było 80-lecie szkoły i zjazd absolwentów, do którego dyrekcja starała się nie dopuścić. Za wszelką cenę chciała odciąć szkołę od tradycji, chociaż na pozór, werbalnie jeszcze do niej nawiązywano. Odbywały się lekcje wychowawcze poświęcone historii szkoły, które prowadził emerytowany polonista mgr Jan Świątecki, sam reytaniak, ale dotyczyły one dalekiej przeszłości - okresu sprzed I wojny światowej lub dwudziestolecia międzywojennego.

Nadszedł rok 1989, już obrady Okrągłego Stołu rozluźniły, a właściwie zniosły ideologiczne obciążenia dotyczące szkoły. Młodzież włączyła się w przygotowania do wyborów 4 czerwca. Na sali gimnastycznej A odbywały się spotkania przedwyborcze, młodzież otwarcie nosiła i przyklejała plakaty a to Anny Radziwiłł, a to Gary Coopera jako szeryfa, na stołach w pokoju nauczycielskim zaczęła się pojawiać Gazeta Wyborcza, którą zachłannie czytałam od początku do końca, do wiadomości sportowych, których nie czytałam nigdy wcześniej. Zwycięstwo w wyborach 4 czerwca 1989 roku szkoła przyjęła spokojnie. Opozycja jako zasłużone i oczekiwane, partyjni i kryptopartyjni jako koniec świata, choć też zasłużony i oczekiwany. Organizacja partyjna zniknęła chyba wcześniej, niż wyprowadzono sztandar czyli rozwiązano PZPR. Szkoły odideologizowano, reaktywowano NSZZ „Solidarność”, biblioteka zaprenumerowała „Gazetę Wyborczą”. I stało się może najważniejsze dla szkoły - od 1 września 1989 roku znów uczył prof. Ireneusz Gugulski. Radość trwała krótko, już w październiku przestał uczyć. Zmarł 29 czerwca 1990 w wieku 55 lat.

Z opisanych przeze mnie wydarzeń i z wypowiedzi absolwentów Reytana wynika sposób, w jaki radzili sobie uczniowie, nauczyciele, dyrekcja z ustrojową opresją.

Jeśli chodzi o dyrekcję, to należy stwierdzić, iż dopóki dyrektorem był Stanisław Wojciechowski, członek ZSL i wieloletni radny m.st. Warszawy, zwolennik, jak można sądzić, swobody myśli i tolerancji wobec inaczej myślących, stanowił pewną zaporę dla roszczeń ideologicznych władz oświatowych i partyjnych. Dyskretnie popierał działalność Czarnej Jedyńki, wobec młodzieży demonstrował postawę zdroworozsądkową i obywatelską zarazem, tzn. kładł nacisk na to, co młodzież może zrobić dla swego kraju, ale na zebraniach rady pedagogicznej ta swoista schizofrenia doprowadziła go do niepojętego gadulstwa, chciał w ten sposób wypracować sobie rodzaj alibi, gdyż przemówienia te następnie znajdowały się w księdze protokołów

rady pedagogicznej. To było o tyle ważne, że każda wizytacja szkoły zaczynała się od lektury książki protokołów. Ze względu na ilość uczniów w szkole dyrektor miał zawsze dwóch zastępców, którzy byli członkami PZPR i oni mieli za ideologizację szkoły odpowiadać. Wynika z tego, że dyr. Wojciechowski odpowiadał przed władzami oświatowymi - inspektoratem lub kuratorium, a wicedyrektorzy przed Zarządem Dzielnicowym PZPR.

Ta sytuacja zmieniła się po 1974 roku, kiedy dyr. Wojciechowski w wieku 70 lat poszedł na emeryturę. Odtąd wszyscy kolejni dyrektorzy byli członkami PZPR i jeśli coś ukrywali przed władzami, to ze względu na swój wizerunek w oczach nadzoru pedagogicznego, a nie z przyczyn światopoglądowych.

W latach 50. i 60. większość rady pedagogicznej w Reytanie stanowili nauczyciele przedwojenni, z przewagą mężczyzn, co się tłumaczy faktem, iż do 1964 roku było to liceum męskie. Jeśli mieli inne zdanie niż oficjalna wersja, milczeli; zmuszeni do reakcji, robili to najpowściągliwiej jak można, dawali do zrozumienia (uczniom lub rodzicom), że „władze” tego wymagają, np. uczestnictwa w pochodzie 1-majowym. Często dystansowali się po prostu milczeniem. W klasie pozwalali na mówienie największych politycznych herezji, np. prawdy o Katyniu. Uczniowie doskonale wiedzieli od starszego rodzeństwa, kolegów czy z obserwacji, co można przy którym nauczycielu powiedzieć. Pytani o fakty, mówili o nich zgodnie z prawdą, np. o sowieckich łagrach, o Armii Krajowej. W miarę upływu lat zdarzali się tacy nauczyciele, wychowankowie Polski Ludowej, którzy znali tylko oficjalną wykładnię wyżej wymienionych faktów. Jeśli byli partyjni, nie przyjmowali prawdy do wiadomości, zaprzeczali; bezpartyjni na ogół zaczęli szukać potwierdzenia swych przypuszczeń w lekturach pozadebitowych, np. w paryskiej „Kulturze” lub w wydawnictwach Instytutu Literackiego w Paryżu. I tu paradoks: ponieważ dużo było w Reytanie dzieci prominentów, którzy przywozili z Zachodu te publikacje, nauczyciele od uczniów je pożyczali, a z kolei swoje pożyczali uczniom. Moja matka w ten sposób przeczytała Aleksandra Solżenicyna: „Krağ

pierwszy”, Andrieja Amalryka: „Czy Związek Radziecki dotrwa do 1984 roku?” Kiedy powstało Towarzystwo Kursów Naukowych w 1978 r. oraz Uniwersytet Latający (sekretarzem rady programowej był reytaniak Andrzej Celiński), chodzili na wykłady, co nie było bezpieczne, bo w razie spisania przez milicję można było zostać zwolnionym z pracy. Ci nauczyciele stawali po stronie uczniów, np. kiedy z przyczyn ideologicznych chciano obniżyć uczniom ocenę ze sprawowania.

W latach 70. władze próbowały stworzyć świecką obrzędowość, np. rodzaj świeckiego chrztu, uroczyste wręczanie dowodów osobistych osiemnastolatkom w Urzędzie Stanu Cywilnego, próbowano też głębszej indoktrynacji ideologicznej w ten sposób, że osiemnastolatek, nawet uczeń, mógł kandydować do PZPR. W Reytanie taką łagodną perswazję uprawiała mgr Jolitta Stępniaak wobec swoich wychowanków. Nie udało mi się dotrzeć do danych dotyczących liczebności młodocianych kandydatów do PZPR. W każdym razie nakłaniała ich m.in. wizją korzyści, np. łatwiejszego dostania się na studia. Nawet fakt, że młody człowiek był praktykującym katolikiem, nie stanowił dla niej przeszkody.

W przypadku uczniów opór wobec ideologizacji szkoły wpisywał się w konflikt pokoleń. Myślę, że tak było np. w przypadku prominenckich dzieci, które przynosiły do szkoły wydawnictwa bezdebitowe. Pewną rolę odegrała też naturalna chęć walki z władzą, z przemocą, z narzucanym przez system światopoglądem.

ROZDZIAŁ VII

Niepokorna szkoła w oczach absolwentów

Wracam do moich pytań postawionych na początku pracy. Dlaczego właśnie ta szkoła była tak niezwykła, niepokorna? Muszę stwierdzić, że po wszystkich rozmowach, które przeprowadziłam zarówno z moją matką, jak i byłymi uczniami, nie czuję się uprawniona do udzielenia jednoznacznej odpowiedzi. Natomiast zgodnie z zapowiedzią z początku mojej pracy chciałabym przedstawić odpowiedzi absolwentów na najważniejsze pytanie mojej ankiety: „Czym ta szkoła różniła się od innych?”. Odpowiedzi ustawiłam w porządku chronologicznym, począwszy od najstarszych absolwentów, a skończywszy na najmłodszych.

Tak odpowiada Piotr Wierzbicki, matura 1953: „Zakładam, że było w Warszawie jeszcze kilka szkół, w których dominowali przedwojenni nauczyciele- to proste kryterium. Tam gdzie oni byli, to kształcenie wyglądało mniej więcej tak jak przed wojną. ZMP nie włąziło na głowę. Zawsze uważałem, że skończyłem przyzwoitą szkołę”.

Oto wypowiedź Janusza Onyszkiewicza, matura 1955: Było dla mnie przedmiotem satysfakcji, że chodziłem do Reytana, bo w owym czasie był on szkołą o bardzo wysokim prestiżu. Uważany był za szkołę dobrą i

nieskomunizowaną. Nieskomunizowaną głównie za sprawą nauczycieli, gdyż dyrektor został ostatecznie uformowany przez szkołę, a nie na odwrót. My uważaliśmy, że Reytan jest najlepszą szkołą i ze względu na nauczycieli, i na atmosferę, która w tej szkole panowała. Wydawaliśmy pokątnie gazetkę pod tytułem „Głos bikiniarza”, która później została uoficjalniona i nazywała się „Reytaniak”, a wydawaliśmy ją na powielaczu. Za moich czasów szkoły rozpadały się na dwie kategorie: TPD-owskie, które miały tylko numery i szkoły, które miały patronów i były szkołami niekooedukacyjnymi. Tamte szkoły w ogóle się nie liczyły i nie wypadało się przyznawać, że się do takiej szkoły chodziło. Niesłuchanie ceniliśmy sobie to, że nie jesteśmy szkołą kooedukacyjną. To, że nie było dziewczyn, to było jakimś dodatkowym wyzwaniem, atrakcją, o którą trzeba było się postarać”.

Tak odpowiada Ładysław Nekanda-Trepka, matura 1959: „Szkoła miała znakomitą opinię wśród kadry akademickiej i jej absolwenci chętnie byli przyjmowani na studia. Kadra w tej szkole była przedwojenna i nie była to szkoła tak masowa jak szkoły TPD-owskie. Gdy dowiaduję się, że ktoś jest z Reytana, to natychmiast odnajduję z nim wspólny język.”

Oto wypowiedź Marka Barańskiego, matura 1960: „Chyba różniła się tym, że tworzyliśmy jakąś wspólną grupę. Byliśmy dumni z tego, że jesteśmy uczniami Reytana. Wydawało nam się, że jesteśmy lepsi od innych. Nie dlatego lepsi, że szkoła lepiej uczy, tylko dlatego, że jesteśmy lepsi. Dla mnie bardzo istotna była przynależność do Jedyńki, nierozzerwalnie związanej ze szkołą, która też czyniła szkołę różną od innych szkół. My, Czarna Jedyńka, to było coś najlepszego!”

Wspomina ks. Stanisław Małkowski, matura 1961: „Wydaje mi się, że ta szkoła miała i nadal ma opinię dobrej. Jest to szkoła znana. Jeżeli mówię komuś, kto skończył Reytana, że ja też, to jest między nami rodzaj jakiegoś porozumienia, jakaś bliskość”.

Mówi Janusz Kijowski, matura 1966: „Chodzić do tej szkoły to był pewien snobizm. Mieliśmy do czynienia z dobrymi nauczycielami. Wybraliśmy sobie

dzięki tej szkole jakiś model życia. To była szkoła bardzo nastawiana na wrażliwość społeczno-polityczną. Pokazywała, że nie można obojętnie przechodzić obok tego, co się dzieje wokoło; czy w kraju, czy na podwórku, w różnych przekrojach i różnych wymiarach. Nam się wydawało, że ta szkoła bardzo się różni od innych szkół. Różniła się tym, że była w niej Czarna Jedyńka, a gdzie indziej takich zjawisk na taką skalę i tak masowych nie było. Rzeczywiście, Jedyńka była fenomenem, że myśmy tak otwarcie działali. Potem się okazało, że cała ta dysydencja polska przejęła te same metody działania. Myśmy się nie kryli, to było najważniejsze. Nie kryliśmy się z tym, że przyznawaliśmy stopnie, które w ZHP były zakazane, że stosowaliśmy metody pracy instruktorskiej zakazane przez władze ZHP. My nie byliśmy konspiracją. Te same wzorce przejął KOR. To Reytan nauczył nas, by nie chować głowy w piasek, by brać odpowiedzialność za swoje postawy i działania. My otwarcie mówiliśmy, że się z czymś nie zgadzamy i że będziemy tacy, a nie inni. To było zbieżne z duchem Reytana, gdzie wszyscy mówili własnym głosem. Te wzorce tych naszych nauczycieli na pewno do nas przenikały, to, że nie ma się co wstydzić własnych poglądów, co w tamtych czasach nie było takie oczywiste”.

Oto wypowiedź Andrzeja Rosnera, matura 1967: „Była to w tamtych czasach szkoła dość wyjątkowa, która uczyła samodzielnego myślenia. Generalnie nasi absolwenci mieli bardzo ułatwiony start na studia, mówię to z pozycji późniejszego nauczyciela akademickiego. Mianowicie, pierwsze dwa lata studiów to jest zwykle okres poświęcony na odzwyczajanie młodych ludzi od szkolnego myślenia, od uczenia się od jednego rozdziału do drugiego, od bezkrytycznej wiary w słowo drukowane, od uczenia się wszystkiego jak leci. Należy nauczyć ich robienia sensownych notatek. Nas tego wszystkiego nie trzeba było uczyć, my to już umieliśmy od samego początku. To jest coś, co dała mi szkoła i za co jestem szkole bardzo wdzięczny. Szkoła ta miała swój charakter i swoją atmosferę, dość niepowtarzalną. Była to atmosfera partnerstwa i dialogu między nauczycielami a uczniami. Nie było takiej strasznej bariery.

Nauczyciele byli normalnymi ludźmi, do których można było podejść na przerwie i coś uzgodnić. Tu nie było argumentacji typu: - Nie garb się, szczeniaku! Większość nauczycieli traktowała nas poważnie, co wcale nie było takie częste w tamtych latach. Ta szkoła bardzo mi ułatwiła start w moim pedagogicznym życiu, jak sam zacząłem uczyć studentów, ułatwiła mi kontakty ze studentami. Nauczano w tej szkole krytycznego myślenia. Myśmy pochodzili z najróżniejszych środowisk. Nie jestem pewien, czy taka piekielna mikstura, czyli ten inteligencki Mokotów z tymi ubeckimi dziećmi, w innej szkole mogłaby się udać. Tu nie było ostrych konfliktów i to pewnie zasługa nauczycieli, którzy mieli w sobie na tyle dużo taktu i talentu pedagogicznego, żeby móc nad tym zapanować i nauczyć nas sporej tolerancji. To też jest coś, co tej szkole zawdzięczam - umiejętność rozmowy”.

Tak odpowiada Włodzimierz Bolecki, matura 1971: „Zdecydowanie ta szkoła różniła się od innych. Po pierwsze, bardzo wysokim poziomem przedmiotów, każdego właściwie i mówię to na podstawie takiej, że ja sam i koledzy moi, o których wiedziałem, że zostali studentami, to w konfrontacji z uczniami z innych szkół myśmy mieli zdecydowanie szersze horyzonty i większą wiedzę. Po drugie wyróżniała się atmosferą, która w niej panowała. Taką atmosferą swobody, tolerancji, możliwości ekspresji, bardzo różnej ekspresji. Na przykład pamiętam, że nasza klasa na dużych przerwach śniadaniowych śpiewała piosenki i były to piosenki w naszym pojęciu manifestujące niechęć do realnego socjalizmu. Była to szkoła o dużej tolerancji obyczajowej. To znaczy, nie było takiej tendencji, by nauczyciele chcieli skoszarować uczniów, narzucić takie same ubranka, mundurki, fartuszki, żeby uczennice i uczniowie musieli chodzić po dwóch różnych stronach korytarza. Zapamiętałem też (jest to moja opinia), że była to szkoła, w której uczniowie rozwijali się nie tylko jako znawcy poszczególnych przedmiotów, ale też rozwijali się w sensie charakterologicznym i intelektualnym. Szkoła ta narzucała pewien poziom, w którym obowiązywała zasada z jednej strony najwyższych kompetencji

przedmiotowych, na jakie było nas stać, a z drugiej strony rozbudzała zainteresowania światem zewnętrznym. Otwierała horyzonty na to, co się działo w świecie. Myślę, że była to szkoła, która wychowywała uczniów jako przyszłych świadomych obywateli kraju. To był pewien paradoks, ponieważ ówczesna propaganda polityczna, która także istniała w szkole, na każdym kroku podkreślała, że szkoła kształtuje świadomych obywateli socjalistycznego państwa. Ta edukacja patriotyczno-obywatelska była kontekstem nieomal naturalnym z tym, że ta szkoła na poważnie ją traktowała, nie w sensie propagandowym. Kształtowała rzeczywiście, tak jak szkoła powinna to robić, wbrew intencjom władzy politycznej”.

Wspomina Małgorzata Naimska, matura 1971: „Zdecydowanie ta szkoła różniła się od innych. Po pierwsze tym, że atmosfera była taka, że większość uczniów ją lubiła, nie było żadnego przymusu. Była prawdziwie dobra atmosfera szkolna. Była to atmosfera, gdzie uczniowie sami zapraszali różne znane osoby do dyskusji, gdzie wielkie znaczenie miała pani bibliotekarka, gdzie się dużo czytało, gdzie Miłosz krążył pod ławkami. Szkoła była fajną szkołą, było mnóstwo świetnych ludzi z dobrymi pomysłami. Nie było chamstwa w tej szkole, nie było czegoś takiego jak antysemityzm, o czym słyszałam, że bywało w innych szkołach. Kiedy w szkole większość osób jest na poziomie, również z takiego personelu pomocniczego, to to strasznie dużo daje i jest bardzo ważne, to też tworzy atmosferę szkoły. Nigdy w tej szkole woźny nie był najważniejszy, w innych szkołach to jest zasada. Tutaj najważniejszy był dyrektor i on nie był niedostępnym dyrektorem, miał duży autorytet i można było do niego zwrócić się z jakąś ważną sprawą”.

Odpowiada Stanisław Falkowski, matura 1972: „To jest bardzo dobre pytanie, na które długo chciałbym mieć odpowiedzieć, ale chyba nie umiem. Natomiast krótko odpowiem tak: i tak, i nie, to znaczy, przypuszczam w tej chwili, jak patrzę na to z dystansu, że różniła się w granicach możliwości istniejących w ramach ustroju. To jest odpowiedź ważna zarówno w roku 1970, jak i w 2002.

To była zła szkoła i teraz to jest też zła szkoła, dobrych szkół w Polsce nie ma, tak sądzę, natomiast są gorsze i lepsze. Zła, to jest, złagodzę nieco definicję, gorsza, niż mogłaby być przy istniejących warunkach. Szło się do niej z wielkimi nadziejami. Wszystko prawda: i pensje nauczycieli, i warunki organizacyjne, i sprzęt, którym się dysponowało i knebel cenzury, to wszystko powodowało, że to była zła szkoła, jak wszystkie inne szkoły. Grupowała jednak jakąś elitę młodzieży. Byli tam nauczyciele reprezentujący jakiś poziom intelektualny, umiejący mówić po polsku. Nie przypominam sobie błędów językowych, jakie by czynili nauczyciele mojej szkoły, a to jest dość istotny wyróżnik przy odpowiedzi na pytanie, czy to była dobra, czy zła szkoła. Dużo było nudy, jak w każdej szkole, jak mi się wydaje”.

Oto opinia Marii Parczewskiej, matura 1972, psycholożki, dziś kuratorki sztuki i nauczycielki akademickiej: „Ta szkoła różniła się tym, że miała kadre, która była odważna moralnie i która była uczciwa, potrafiła postawić wiele na szali i zawodowo, i prywatnie. Nie znam drugiej takiej szkoły, gdzie podobne zjawisko miałoby miejsce. Jestem dumna, że chodziłam do tej szkoły. Myślę też, że skupiała interesującą młodzież, przyciągała ludzi z różnych rejonów Warszawy. Uważam, że był wysoki poziom nauki i miałam wrażenie, że jestem w wyjątkowej szkole”.

Mówi Sławomir Mazurek, matura 1979: „Reytan miał w tamtym czasie takie dwa oblicza. Z jednej strony był to pewien fenomen wewnętrznego oporu przeciwko systemowi. Bardzo wyraźnie to sobie uświadomiłem, gdy przeszedłem z Reytana na studia polonistyczne w 1979. Na polonistyce warszawskiej panowała wtedy znacznie mniejsza swoboda myśli niż w szkole. Nie było na uniwersytecie swobody wyrażania poglądów i ludzie byli znacznie bardziej zastraszeni. Dla mnie to było olbrzymim zaskoczeniem, bo ja się spodziewałem, że na polonistyce znajdę przynajmniej to samo co w szkole, a znalazłem znacznie mniej. Byłem zaszokowany poziomem konformizmu i zastraszaniem na UW. W Reytanie non-stop się rozmawiało o literaturze

emigracyjnej, na tematy polityczne, na uczelni tego nie było (...) Z Reytana wyniosłem takie przekonanie, że nie należy się angażować w żadne oficjalnie działające organizacje i dziwiłem się, że koledzy to robią, nie mogłem im tego wyperswadować. To wszystko uświadamiało mi, że rzeczywiście w Reytanie była zupełnie inna atmosfera, niż w innych szkołach. Reytan był szkołą, która uczyła oporu politycznego i uświadamiała to, że istnieje sfera polityki. Z jednej strony Reytan zapewniał kontakt z autentyczną kulturą polską na pewno w szerszym zakresie niż inne szkoły i to zarówno dzięki nauczycielom, jak dzięki środowisku i atmosferze panującej wśród uczniów. Uświadamiał, że ta kultura, z którą mamy do czynienia, jest filtrowana przez propagandę. Z drugiej strony, i to jest też bardzo istotne, Reytan uświadamiał, że istnieje coś takiego jak sfera polityki. To też sobie bardzo wyraźnie uświadomiłem na samym początku studiów, gdy okazało się, że moi koledzy nie chcą na takie tematy, tematy polityczne rozmawiać. (...) Reytan przy całym swoim oporze wobec komunizmu to jednak nie był społecznością autentycznie demokratyczną. W Reytanie wobec osób, które z tej antykomunistycznej poprawności politycznej się wyłamywały, stosowano ostracyzm. Ja nawet się dziwię, że tam były osoby, które potrafiły się wyłamywać. O dialogu z nimi nie było mowy, mogła być dyskusja, ale taka, w której chodziło o to, by rozmówcę pognębić, dołożyć mu. Tej polityki w Reytanie jednak było za dużo. Z jednej strony to uświadamiało, że taka sfera polityki, zapomniana, to istnieje, a z drugiej strony za dużo na każdym kroku było tej polityki - ja mam takie odczucie. Za często uczniowie na lekcjach wypowiadali jakieś aluzje polityczne, z nadto wszystko było podporządkowane polityce. Nie było to jednak środowisko jednolite. Były klasy odważniejsze i takie, które były mniej odważne. (...) Mieliśmy poczucie, że jesteśmy w elitarniej szkole, a przecież ona nie była elitarna, była wielkim kombinatem, tam było bardzo dużo młodzieży. Zawsze zastanawiam się, jak to możliwe, że w szkole gdzie było tysiąc osób, toalety mogły być w tak fatalnym stanie i nikt o tym nie pomyślał. To, jak wyglądały toalety w Reytanie, było czymś niewiarygodnym,

na całą szkołę była jedna męska toaleta, z której można było korzystać, jedna kabina, z której można było korzystać. (...) W tej szkole był dobry poziom nauczania. Różniła się ona też od innych pewną niezależnością od tego oficjalnego systemu kontroli kultury i kontroli oświaty, to była szkoła, która z pewnością spod tego systemu się wymykała. Ten system kontroli w Reytanie zdecydowanie się zacinał, to było jasne i z tego wszyscy zdawali sobie sprawę i uczniowie, i nauczyciele, i rozmaici decydenci, którzy chcieli tę szkołę spacyfikować. Po to ciągle tych dyrektorów nowych przysyłano, by szkołę spacyfikować”.

Mówi Krzysztof Nowakowski, matura 1982, filozof i socjolog, dziś doradca do spraw zarządzania kapitałem ludzkim, syn matematyka, profesora Jana Nowakowskiego - „Sinusa”: „Reytan był o tyle nietypową szkołą, że przyjaźnie i kontakty nawiązywały się w poprzek roczników. Ja miałem kolegów starszych o trzy, cztery lata ode mnie, mam także młodszych. Jest też coś takiego, że reytaniacy potrafią się jakoś zidentyfikować i do dzisiaj to działa trochę jak zaklęcie. Powiedzenie, że ja jestem z Reytana, i odpowiedź - ja też, od razu zmienia jakość relacji i kontaktu. Bardzo często miałem takie sytuacje. Reytaniacy lubią się dopytywać ludzi, których spotykają o to, czy są z Reytana, a jeśli nie, to którą szkołę kończyli. Powiedzenie, że ja kończyłem Reytana, to było coś, co niewątpliwie nobilitowało, na bardzo wielu ludziach to robiło olbrzymie wrażenie. Myślę, że dzisiaj to takiego wrażenia nie robi, bo dużo jest w Warszawie ludzi przyjezdnych, osób, którym te subtelności warszawskie, rozróżnienie między Batorym, Reytanem, Rejem nic nie mówią i nie mają dla nich żadnego znaczenia. Ciekawe, czy ta identyfikacja ludzi ze szkołą, ludzi, którzy dzisiaj kończą Reytana, jest tak bardzo silna jak wśród tych roczników, które mi są znane i wcześniejszych. (...) Było tak, że Reytan to była jedna z tych magicznych szkół, uznanych. Druga rzecz bardzo istotna o Reytanie to to, że ta szkoła miała podwójne życie. Tam poza tym nurtem szkolnym, tym, co było oficjalnie wykładane podczas lekcji języka polskiego, historii, matematyki czy

fizyki, tam mocno było źródło ciekawości, otwartości, poszukiwania nowych rzeczy, w jakimś stopniu też konspirowania. Ci ludzie spotykali się nie tylko po to, by obalać ustrój komunistyczny, ale po to, by czytać wiersze Miłosza, które Gugulski ręcznie przepisywał z paryskiej Kultury, rozmawiać o świecie poza szkołą i poza teraźniejszością polityczną. Myślę, że dla mojej konstytucji osobowościowej bardzo ważne jest to, że ja chodziłem do Reytana na przełomie epok. Rok 1976 to była krwawiąca rana, a ja przyszedłem do szkoły w 1978. Potem było kolejne bardzo istotne wydarzenie czyli rok 1980 i Solidarność. My strasznie byliśmy dumni, że ci ludzie, którzy wcześniej kończyli Reytana czyli Onyszkiewicz, Macierewicz, Naimski są tak ważnymi postaciami w Solidarności. Rok 1982 to też była niezwykle krytyczna cezura. Byliśmy jedną z niewielu szkół wyróżnionych przez komunistów tym, że nam zabrali nauczycieli i zamknęli ich do internatu”.

Oto opinia Katarzyny Górskiej, matura 1984: „Na pewno ta szkoła różniła się od innych. Myślę, że takim istotnym wyróżnikiem to byłaby taka duma, duma z tego, że chodziło się do tej szkoły, że się jest lub potem było reytaniakiem. Pamiętam, że w czasach, gdy ja chodziłam do Reytana, to była szkoła elitarna. Wyróżniało ją na pewno upolitycznienie w sensie zaangażowania politycznego uczniów i absolwentów. Towarzyszyła temu pewna legenda, ponieważ z tego środowiska wywodzili się założyciele KOR-u i paru innych takich elit politycznych. Mam takie poczucie, że i wtedy, i dziś często pytam ludzi, jakie liceum skończyli tylko po to, by zaraz powiedzieć z dumą, że ja skończyłam Reytana. Odczuwam głęboką dumę z tego powodu i ta moja duma może czasem bywa przyćmiona na przykład, gdy ktoś powie, że skończył Batorego, ale nader rzadko mi się to zdarza. Jest też element pewnej solidarności absolwentów. Mnie się zdarzyło w życiu poznać ludzi, którzy też ukończyli Reytana i w momencie gdyśmy się zgodali na ten temat, to już w ogóle była inna rozmowa. To nie musieli i najczęściej nie byli ludzie z mojego rocznika. Do dziś dnia się zdarza, że gdy spotykam ludzi i okazuje się, że skończyliśmy to samo liceum, to

natychmiast ogarnia mnie takie uczucie jakiejś solidarności, sympatii, pewnej potencjalnie tajemnej wiedzy, którą dysponujemy. Parę razy w życiu to mnie spotkało, że ktoś gdzieś pomógł mi z tego powodu, że powołałam się na to, że jestem z Reytana. Myślę, że jest takie bardzo głęboko zakorzenione poczucie solidarności pomiędzy absolwentami Reytana. Myślę, że takie poczucie jest niesłychanie rzadkim zjawiskiem, a przecież pozytywnym, szlachetnym, dobrym, fajnym, ale na pewno unikalnym”.

Mówi Michał Cichy, matura 1985, historyk, dziennikarz: „Na pewno ta szkoła różniła się tradycją nieprawomyślności, z całą pewnością tak było i to w dużej mierze dzięki Gugulskiemu, który jeszcze w latach 70., kiedy wszyscy cicho siedzieli, przepisywał wiersze Miłosza. To było wręcz legendarne, że przepisywał ręcznie wiersze Miłosza i dawał do czytania uczniom. W czasie gdy ja chodziłem do szkoły, to już Miłosz był po Noblu, już był legalny, ale Gugulski był w ogóle całkowicie nielegalny”.

Na podstawie powyższych wypowiedzi stwierdzam, że niezależnie od wieku moi rozmówcy są zgodni w ocenie szkoły. Absolwenci z lat 50. i 60. cenią ją przede wszystkim za to, że dobrze uczyła, dawała gwarancję dostania się na wyższe studia. Przedwojenni nauczyciele, najczęściej ludzie o szerokich horyzontach myślowych, okazywali się mistrzami w swoim fachu: uczyli samodzielnego krytycznego myślenia, umieli nawiązywać partnerskie stosunki ze swoimi wychowankami, nie bali się wypowiadać niezgodnych z obowiązującą ideologią poglądów. Mimo istniejącej propagandy szkoła uwrażliwiała młodzież na sprawy społeczno-polityczne, rozbudzała zainteresowanie światem zewnętrznym, uczyła też odpowiedzialności za podjęte przez uczniów działania. Absolwenci z lat 70. i 80. podkreślają zaangażowanie polityczne swoich wychowawców, ich odwagę moralną, nieprawomyślność. Zarzucają wręcz szkole jej zbyt upolitycznienie, ale cenią za możliwość wypowiadania własnych poglądów, choć mówią też o obowiązującej antykomunistycznej poprawności politycznej. Zdarzało się, że szkoła nie była w

stanie sprostać oczekiwaniom uczniów, podobnie jak inne szkoły w tym czasie. Stanisław Falkowski, matura 1972 - dziś nauczyciel - stwierdza, że w Polsce nie ma dobrych szkół, że są tylko lepsze i gorsze. Reytana zalicza do tych lepszych. O Czarnej Jedyńce jako o fenomenalnym zjawisku wspominają nawet ci, którzy do niej nie należeli. Dla wielu stała się ona drugą, a może pierwszą, szkołą życia, odpowiedzialności, odwagi, honoru, patriotyzmu, niepokorności.

Wszyscy absolwenci, z którymi rozmawiałam, są dumni z tego, że skończyli właśnie tę szkołę i chętnie o tym przy różnych okazjach mówią. Stwierdzają nawet, że między reytaniakami istnieje pewna magiczna więź łącząca pokolenia. Taką jednoczącą siłę miało poczucie przynależności do elity, opór przeciwko władzy, walka z propagandą PRL, niepokorność wobec reżimu.

BIBLIOGRAFIA

1. Andrzej Albert, (Wojciech Roszkowski) Najnowsza historia Polski (1918-1980), Puls 1991
2. Stefan Baley, Psychologia wychowawcza w zarysie, PWN, Warszawa 1958
3. Stefan Baley, Wprowadzenie do psychologii społecznej, PWN, Warszawa 1959
4. Marian Brandys, Z dwóch stron drzwi [w:] Moje przygody z historią, Iskry Warszawa, 1990
5. Bohdan Cywiński, Rodowody niepokornych ,Biblioteka „Więzi” t. 29 Warszawa , 1971
6. Ireneusz Gugulski, Syneczku, panienczko... Warszawa 1995
7. Teresa Hejnicka-Bezwińska, Zarys historii wychowania (1944-1989)(oświata i pedagogika pomiędzy dwoma kryzysami) cz IV, Kielce
8. Ingeborg Helling, Metoda badań biograficznych [w:] J.Włodarek, M.Ziółkowski : Metoda biograficzna w socjologii, PWN, Warszawa 1990
9. Andrzej Janowski, Eksperyment wędrowniczy. Harcerstwo w warszawskich szkołach średnich w latach 1957- 1959, Niezależne Wydawnictwo Harcerskie, Warszawa 1981
10. Aleksander Kamiński, O harcerstwie (teksty zapomniane 1956- 1959) Zeszyty Edukacji Narodowej 1988
11. Jakub Karpiński, Tatarnictwo nizinne, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie- Skłodowskiej Lublin 2002
12. Ludwik Krzywicki, Dzieła zebrane ,PWN Warszawa 1958

13. Jacek Kuroń, Jacek Żakowski, Siedmiolatka czyli kto ukradł Polskę?
Wydawnictwo Dolnośląskie Wrocław 1997
14. Jan Józef Lipski, KOR, Wydawnictwo CDN Warszawa 1983
15. Adam Mickiewicz, O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych, [w:] Pisma prozą t. IV, Czytelnik Warszawa 1952
16. Wincenty Okoń, Nowy słownik pedagogiczny, Żak
17. Stanisław Ossowski, Z zagadnień psychologii społecznej, PWN Warszawa 2000
18. Gabriele Rosenthal, Rekonstrukcja historii życia [w:] J. Włodarek, M. Ziółkowski : Metoda biograficzna w socjologii, PWN, Warszawa 1990
19. Wspomnienia z Reytana Anny Modrzejewskiej (w rękopisie)
20. Zarys historii VI Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Reytana (lata 1956 - 1986), Wydawnictwo Aneks Warszawa 1987
21. Jacek Żakowski, Z powodu zmian organizacyjnych, Tygodnik Solidarność nr 5 1981